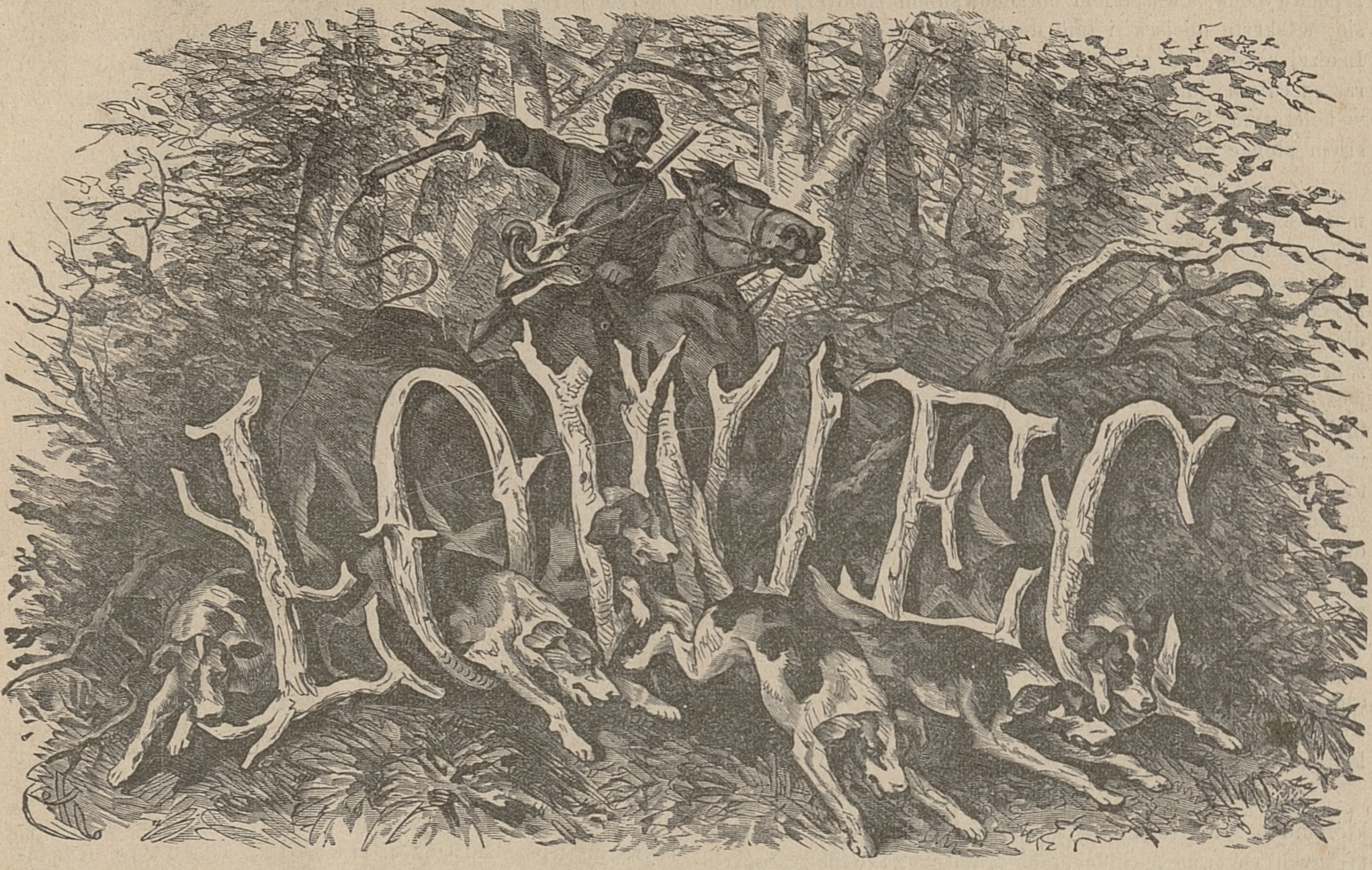
Nr. 12. Lwów, dnia 1. Grudnia 1893. Rok XVI.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Z zatargów rodzinnych i z ekonomii łowieckiej.

Napisał

WŁADYSŁAW SPAUSTA

XI.

Są jeszcze dwa rabusie, najpospolitsze i wszystkim u nas znane, co do których niepodobna się omylić, tak są w locie i całym układzie od swych pokrewnych odmienne. Mam tu na myśli jastrzębia i krogulca. Zbliżają się one do siebie kształtami i lotem, a różnią się wielkością. Lot, wskutek krótkości i zaokrąglenia skrzydeł, sięgających tylko do połowy ogona, jest powolniejszy, cięższy ale natomiast wytrwały, nadający się do rozmaitych zwrotów i do omijania przeszkód. Stosunek długości ciała do siągu skrzydeł jest u tych gatunków co najwyżej 1·2, podczas gdy u innych drapieżnych nawet do 2·7 dochodzi.

Którędy przeleci jastrząb lub krogulec, tam z pewnością zabiłby się sokół. Ptaki te umieją wymijać w locie wszelkie zawady i przemykają się przez gęstwiny, w których by każdy inny ptak drapieżny ugrzązł. Ten charakter lotu dwóch Odyseuszów z rodu drapieżników czyni je prawdziwie strasznymi, a zarazem zdradza ich, bo pędzą szlakami, któremi szlachetne Ajaxy latać nie zwykły i latać nie umieją.

Cóż dziwnego, że te od natury taką specyalnością obdarzone ptaki, przebiegłe, ostrożne, a gdy potrzeba i odważne, nie tyle chyżością ile sprytnym fortelem, a gdy inaczej nie idzie, forsą brutalną zdobywają — jeżeli już nie zbroję Achillesa, to przynajmniej kuropatwę, cietrzewia, kaczkę, przepiórkę, drobnego ptaszka, i według okoliczności wszystko, co lata i co kryje się przy ziemi. Sokół umie jedną sztukę doskonale — jastrząb to wszechstronnie wyposażony mistrz w mordowaniu, rozporządzający środkami, których trudno przewidzieć. Pochwyci kryjącą się wśród gałęzi wiewiórkę z największą łatwością, wzniesie się w górę, stanie nieruchomo w powietrzu, zatrzepie lotami nad kryjącą się przy ziemi ofiarą, przeszyje ją unieruchomiającym wzrokiem demona, spadnie jak kula na ziemię, a gdy minął cel, zaczyna czynić na ziemi rewizye, łażąc niezgrabnie i dybiąc wszystkiemi zmysłami za uszłem życiem.

Każdy krwawy epizod w naturze, w którym jastrząb odgrywa rolę bohatera, przesuwa przed naszemi oczami cały

szereg specyalnych w mordowaniu zdolności. Każdy jastrząb z pochwyconą z wszelkiem obrachowaniem zdobyczą wynosi się w skryte miejsca i tam dopiero najwygodniej ucztuje. Inaczej sokół. Ten w ogniu swej zapamiętałości wpada nieraz z całym impetem w nienawistną toń albo mota się w kolczatym krzaku i tak oddaje swe mężne życie, we własnym płonąc gniewie.

Zdarza się nieraz, że i jastrząb przeliczy się w swej możności, czy też zapomni o prawach ciążenia, i porwie się na przedmiot, którego wcale unieść nie zdoła; wpadnie np. na zająca i wbije głęboko w grzbiet jego swe szpony, a nie mogąc go odrazu ubić, musi z nim nieraz odbywać zgubną dla siebie przejażdżkę po ziemi, bo jeśli krzaki niedaleko, to z drapieżnika zostają tylko kawałki na gałęziach wzdłuż zajęczego biegu, albo dosięga go w tej krytycznej chwili dobrze zasłużony strzał. Jastrząb, zapuściwszy raz szpony w ciało ofiary, może je wprawdzie odrazu wyciągnąć, gdy tego pragnie; ruchliwość tych chwytnych przyrządów jest zanadto wielką, aby tego uczynić nie mógł, co zresztą codzienna praktyka aż nazbyt udowadnia. Inaczej wszakże ma się rzecz, gdy ofiara, zamiast być unoszoną, jastrzębia unosi; powstają tu nowe komplikacye mechaniczne, a prąd powietrza, na jaki ptak jest wystawiony, ubezwładnia ruchliwość szponów. Głód jak się zdaje zaślepia nieraz tego zresztą rozsądnego ptaka i staje się powodem objawów nielicujących z jego zwykłą roztropnością; to też daleko mu do mędrca, którego poznać po zaniechaniu.

Ptak to, który pożera wszystko, co tylko pochwycić może, któremu bezgraniczna drapieżność każe się w chwilach krytycznych porywać na inne ptaki drapieżne, lub na słabszych współplemieńców, a nawet członków własnej rodziny. Nie przebiera on w środkach i w sposobach, aby tylko zaspokoić wilczy swój apetyt. Najsilniejsza ta żądza ćmi wszystkie jego zdolności i staje się przyczyną objawów, które trzeba na własne oczy widzieć, aby w nie uwierzyć.

Ponad pustą okolicą szybuje głodny gołębiarz, raptem dostrzegł swój własny obraz odbity w źwierciadle wody; jest to jedyny przedmiot, który zwraca jego uwagę. Jak strzała rzuca się w zaślepieniu na urojoną zdobycz i, w najlepszym razie po kąpieli, ze wstydem ucieka. Widziałem na własne oczy, jak jastrząb chwytał na wiosennych wodach w Pokrowie pod Oleskiem szczupaki, gdy ryby te podczas tarła na powierzchnię wód wypływały, a szczęśliwsi odemnie podają (Z Bytomia *Illustr. J.-Zeitung* 892. str. 28), iż gołębiarz rzuciwszy się na wielką rybę, utonął pociągnięty w głębinę.

Wracając do lasu na nocleg, lub wybierając się na wycieczkę, co mniej więcej o tej samej godzinie zwykł spełniać, leci powoli, ciężko, wachlując miarowo skrzydłami. Wtenczas może być najłatwiej strzelony na zasiadce, której miejsce da się tak przewidzieć, jak przesmyk zwierza w kniei. Ale cóż, kiedy najczęściej trzyma się wysokości, w której broń już zawodzi. Raz strzelony bez skutku, zmienia obrany kierunek i długo znowu trzeba wypatrywać, nim się uda wyśledzić nową jego drogę.

Wpadnięcie jastrzębia w obejście sprawia rumor niezwykły; kury gdaczą, wrony z wrzaskiem gonią go, bo niejedna pamięta krzywdy, jakie jej w uczuciach macierzyńskich wyrządził ten znakomity rewizor gniazd; gołębie uciekają gdzieś w obłoki, albo jak kule ku ziemi padają, — a nim się rusznicy dopadnie, już go niema i tylko jakiś kopciuszek od drobiu zawodzi na podwórzu, bo gdzieś daleko, po nad samą ziemią, jakby biegł i leciał, wlecze jastrząb najtłuściejszą kurkę.

W porze lęgowej trzyma się jastrząb więcej lasów a nawet mało kiedy opuszcza je, mając tam nazbyt żeru. W lipcu lub sierpniu, gdy młode t. z. rabce poczynają już latać, widzić można całą rodzinę, z 6, 5 a najrzadziej z 4 sztuk złożoną, jak po kilka godzin krąży ponad lasami w najrozmaitszych zwrotach.

I długo musi praktykować w tej szkole rabczyk, którego po zupełnie innem upierzeniu zaraz poznać można, nim zasłuży na dekret dojrzałości, nim wyuczy się licznych sztuk jastrzębich.

W czasie tym, gdy cała rodzina jeszcze razem się trzyma i w pewnych partyach lasu swe aeronautyczne wykonuje ćwiczenia, można do bardzo szczęśliwych dojść strzałów, zwłaszcza w porze wietrznej i w lesie podszytym, gdzie podejście pod krążące ptaki jest możebne. Najwięcej jastrzębi w swem życiu ubiłem w ten sposób.

Uprzykrzone napady jastrzębia na drób rozpoczynają się dopiero w jesieni, gdy jeszcze liść na drzewie, a pora lęgowa minęła. Wtenczas przestaje być jastrząb leśnikiem a budzi się w nim szczególny zapał do agronomii i do wszystkiego, co się tam z drobiu produkuje. Gdy liść opadnie i śniegi ziemię pokryją, rozerwaną staje się jego uwaga. Na polu zdala widnieje zajączek, czerni się stadko kuropatw, las stał się widny i miło zaglądnąć w te tak długo zakryte tajniki. Ale i od zagród miłe dochodzą głosy. Leci więc jastrząb z lasu na pole, zajrzy w każdy zakątek, zatoczy kilka kół, porachuje zwierzynę polną i z tej ptasiej perspektywy najlepszą w pamięci tworzy sobie statystykę. A opłakane bywają skutki takiej wizytacyi, bo statystyk nie poprzestaje na rachunku; niemal każdy dzień wydzwania jednej lub dwom ofiarom śmierć straszną w szponach jastrzębia.

Lecz ja się tu rozpisuję o jastrzębiu, a zapominam, że zasłużyć mogę na nazwę nudziarza, zwłaszcza po tak niezrównanych monografiach tego ptaka, jakie nasze piśmiennictwo posiada. Cóż jednak począć? Są rzeczy znane, a przecież jeśli się ich człowiek dotknie, korci odegrać rolę Jowialskiego.

Krogulec, niby młodszy brat gołębiarza, pozornie wygląda nieco zgrabniej; przyczyna tego leży głównie w całości drobnych kształtów a nie tyle w proporcyi pojedynczych części. Jak o jastrzębiu tak i o krogulcu można powiedzieć, iż co do rabunku i mordów robią co tylko mogą, a czasem nawet i więcej. Niedostatki w locie, w porównaniu do sokołów, są przyczyną, iż szybko latające ptaszki a szczególniej jaskółki, przedrwijają sobie z krogulca i pędzą za nim z ćwierkaniem, podczas gdy podstępne zjawienie się krogulca wśród stad wróbli, trznadli i innych drobnych ptaszków, wywołuje popłoch nie do opisania. Wie o tem krogulec, że niemal każdy drobny ptaszek zwraca na niego uwagę i głosem ostrzega o zbliżającym się wrogu, to też leci o ile możności skrycie, nieraz prawie że ziemi się dotyka, to znów wązką uliczką pomiędzy płotami, aleją drzew, i wyrasta jak *deus ex machina* i z całym impetem wpada między ptaszki, mordując jak się uda, skrzydłem, szponem, na ziemi i w powietrzu — bo cel uświęca środki.

Jakkolwiek przeczyć nie mogę, iż krogulec, osobliwie samiec, żywi się prawie wyłącznie drobnemi ptaszkami, a szczególnie wróble, ziemby i trznadle bez miary niszczy, daleki jestem od mniemania, iż tu się kończy szereg jego zbrodni i nie mogę zgodzić się ze zdaniem jednego z naszych poważnych badaczy, który o krogulcu w ten sposób

się wyraża: „Szkody ani w zwierzynie ani w niczem nam pożytecznem nie robi; jeżeli schwyci tu i owdzie mile nucącego śpiewaka, to tyle naszej krzywdy, nawet za skowronkami rzadko się ugania i na przepiórki nie poluje.“ Nieco dalej mówi ten sam znakomity ornitolog: „Samica może chwytać bekasy i przepiórki, lecz tego nie czyni.“ („O sokolnictwie“ str. 207.)

U krogulca odróżniać należy płcie obie jeszcze bardziej, niż u innych ptaków drapieżnych. Są to niby dwa gatunki, tak dalece różnią się wielkością a przeto i szkodliwością, piękniejsza zaś połowa tego gatunku należy do najszkodliwszych i do najuprzykrzeńszych ptaków drapieżnych, posiadając męzką siłę a przytem prawdziwie niewieści spryt. Jednem słowem w piękniejszej połowie krogulca *das ewig Weibliche* wcale myśliwego zachwycić nie może.

Samica krogulca -- to przez wielu naturalistów zapoznany szkodnik, ukrywający się po za sportem łowienia drobnego ptactwa, a zbyt przezorny, aby łatwo odkrył ciężkie swe zbrodnie, jakie popełnia na wszystkiem, co tylko pokonać może. Drapieżnik niszczący płód zaznacza daleko szkodliwiej swą bytność, bo zamiast jednego dorosłego zwierzęcia, któreby mu wystarczyło, niszczy mnóstwo drobiazgu, a do takich należą w długim sezonie i krogulce; że zaś ptak, który jest w stanie pokonać sojkę, turkawkę, drozda, jak to na własne oczy widziałem, nie pogardzi i przepiórką a nawet kuropatwą — to więcej niż pewna. Co więcej, impetyczna samica krogulca porywa się częstokroć na wzór jastrzębia na zwierzęta, których już wcale pokonać nie może. Istnieją wiarygodne podania o napadzie krogulca na wyrosłego zająca, a stary Naumann, który nigdy nie przesadza, przytacza na własne oczy widziany fakt, iż krogulec rzucił się na czaplę i z takową razem spadł na ziemię.

Nazwy ludowe zwierząt, jakkolwiek nie zawsze są właściwe i powstały częstokroć na gruncie tylko wyjątkowo spostrzegać się dających cech jakiejś odmiany, określają przecież w wielu wypadkach daleko lepiej charakter zwierzęcia, niż później wytworzone nazwy naukowe. Otóż jeżeli nasz lud krogulca w wielu okolicach nazywa „przepiórnikiem“, „perepelatnikiem“, to sądzę, iż jest to najstosowniejsza nazwa samicy, ale nie cechuje samca, któremu też i w gminnym języku nazwa „ptasznika“ najlepiej odpowiada. Rozmaite nazwy ludowe różnych płci a jednej odmiany, którą lud zawsze jako zupełnie inne gatunki uważa, nie wiedząc nic o różnicach płci, określają najlepiej odmienne znaczenie obu płci tych ptaków drapieżnych. Różnice te obałamuciły nawet przyrodników i w lot pojawił się w książkach osobny gatunek krogulca *Nisus major (Borkhausen)*, którym jednak nie był kto inny, jak tylko połowica zwykłego krogulca *Accipiter nisus* i o ile dotychczasowa wiedza ornitologiczna sięga, strefy nasze nie posiadają innych gatunków tego ptaka.

W czasach romantycznych łowów sokolich, krogulec (samiec) uważany był za podłego ptaka i do łowów nie był układanym, nie dowodzi to jednak łagodnej i nieszkodliwej jego natury, a zresztą nie jest zupełnie na prawdzie oparte. Jeszcze Rej wspomina o zwykłej rozrywce małego szlachetki, o łowach „z krogulaszkiem“ podczas żniwa, a jeżeli mądry ten ptak niedał się tak łatwo układać do pełnienia niewolniczej służby, i do pracy dla czyjejś rozrywki, to chwała ta tylko jemu przysługa, bo samica krogulca, jak zapewnia autor dzieła „O sokolnictwie“, jako najpospolitszy ptak do łowów używaną bywała.

Podobnie jak jastrząb poluje krogulec pomiędzy drzewami, i widzić go można, jak z chyżością i szelestem zupełnie innym jak sokół mknie pomiędzy drzewa za jakąś ptaszyną. Przesuwając się wśród gałęzi, dotknie ciałem takowych, strąci na ziemię jakąś mchu drobinę, to znów otrzęsie śniegu bryłkę, i dalej leci wśród gąszczy w zygzakowych liniach, gdzie każdy inny ptak musiałby się zabić o jakąś przeszkodę. Łatwość w zwrotach i zupełne zapanowanie nad kierunkiem lotu jest wybitną cechą tego ptaka. Może on w jednej chwili zmienić kierunek w stronę przeciwną, aby zaś mieć wyobrażenie o tej możności, trzeba go obserwować w wyjątkowych stosunkach, w jakie go niedostatek lub niebezpieczeństwo wprowadza.

Z całą słusznością zamieszcza ustawa błotniaka stawowego w rzędzie szkodliwych ptaków, jest to bowiem taki troskliwy opiekun jaj i piskląt ptactwa błotnego i polnego, iż trudno, aby się pod jego okiem coś ukryło lub wychowało. Szkodnik ten, jak gdyby umyślnie do nas na sezon jajecznic i potrawek przylatywał, jawi się z końcem kwietnia, a w sierpniu już coraz rzadszym się staje, wynosząc się coraz dalej na południe. Poznać go można, tak samo jak i jego krewniaków, które w kilku odmianach włóczą się po dniach całych po nad polami i łąkami, po oryginalnym locie, przypominającym lekki i kołyszący się lot rybitwy.

Wytrwałość lotu u błotniaków jest nadzwyczajną; ptaki te mogą niemal cały dzień latać tuż po nad ziemią tam i napowrót w liniach równoległych, przezco gruntownie cały teren przeszukują. Na drzewach prawie nigdy nie siadają, a odpoczywają zazwyczaj na ziemi.

Szereg szkodników łowiectwa nie kończy się jednak na ptakach, które ornitologia drapieżnemi mianuje. Pośród bardzo powabnych i wcale nie drapieżnie wyglądających mieszkańców naszych lasów i pól, są niemniej gorliwi niszczyciele płodu; jednych jako takich piętnuje ustawa, inne swobodnie rozmnażają się bez miary i dopełniają, każdy w swój sposób, zniszczenia pożytecznego łowieckiego ptactwa.

Przykro mi nadzwyczaj występować jako oskarzyciel tylu zresztą bardzo powabnych istot, ale prawda nie da się ukryć i prędzej czy później łowiectwo nasze zmuszone będzie nieco brutalniej wystąpić w tym kierunku, chcąc wytrzymać współzawodnictwo z innemi krajami Europy.

Pomijam tu szczegółową krytykę tych szkodników, z których jedne kryje przesąd, inne piękna sukienka lub przyjemna fizognomia — bo krytyka taka za daleko by mnie zaprowadziła. Powiem tylko w ogólności, iż niezliczona ta hałastra staje się jednym z powodów tak często u nas wygłaszanych znaków zapytania, dlaczego tu lub ówdzie kuropatw, przepiórek lub innego ptactwa niema? Niema i być nie może, i stosunki się poprawić nie mogą, dopóki stan dzikiej a szkodliwej przyrody nie zostanie unormowany w sposób, licujący z postępem kultury.

W r. b. wyznaczono w cyrkule Niższego Lahu (dopływ Renu) prawie po 20 feników na głowy sojek, wron, srok, srokaczy, kruków i t. p. (*Leipz. Ill. Jagdzeit.* 892. 12.); u nas coś podobnego mogłoby się stać wcale intratnem zajęciem, a kto wie, czy dochody takiego premiowanego rzemiosła nie wyrównałyby sumie, jaka się dostaje rocznie krzewicielom i krzewicielkom oświaty ludowej...

Ponieważ, jak to już wspominałem, wytępianie drapieżców li tylko do pewnych granic da się doprowadzić, powinno łowiectwo starać się także o stosowne schronienie dla zwierzyny polnej, zabezpieczające ją od napadu drapieżców, a oraz od wpływów srogiego klimatu, o spokojne

ustronia dla lęgu i miejsca pewnego a specyalnego żeru. Warunkom tym powinny odpowiadać bądź sztucznie wśród odkrytych pól zakładane zagajniki krzaczyste, które powszechnie „remizami“ zowią, bądź zakrzaczenia naturalne, jakie się wśród pól, a szczególniej na mniej odpowiadających uprawie rolnej miejscach znajdują. Potrzeba takich ochron staje się tem większą, im dalej postępuje kultura rolna, zagarniająca każdy kąsek ziemi dla siebie. Naturalne zakrzaczenia znikają coraz bardziej, a łakoma na kawałek ziemi ręka rolnika ogałaca częstokroć bezpotrzebnie pola z tych małych smużek ochronnych tak, jak gdyby staranniejsza kultura reszty ziemi nie mogła już wynagrodzić tego nieznacznego ubytku zazwyczaj i tak mało użytecznych skrawków, jakich zwierzyna polna dla siebie wymaga.

Podniebie nasze, odznaczające się i wielkim i długo leżącym śniegiem, gdzie przez pół roku czasem na białym całunie znaczy się z dala każdy polny zajączek w swej kotlinie, każda pojedyncza kuropatwa w swem siodle, — nadaje remizom w naszym kraju tem większe znaczenie.

Urządzenie remiz i wybór najodpowiedniejszych w tym celu krzewów i roślin zielnych, znaleść można w każdem mniej więcej specyalnem dziełku; są to rzeczy już dawno znane i uznane przez postępowe myśliwstwo, a jeszcze w r. 1785 jeneralny inspektor myśliwstwa Ludwika XVI, M. Le Breton, kreślił bardzo cenne uwagi o udoskonaleniu remiz (Paryż 1785), które i po dziś dzień nie straciły na wartości. Przy zakładaniu remiz trzeba głównie na to uważać, aby wybór roślinności zastosowany był do natury gruntu i klimatu, gdyż tylko w odpowiednich warunkach znajdujące się krzewy mogą dać gęstwinę należycie zwartą i tworzyć ochronę dla zwierza. Nie można też zakładać remiz w miejscach podmokłych lub peryodycznym zalewom ulegających, a wreszcie uważać, aby wśród zwartych i wszelką wegetacyę zielną głuszących zarostów drzew szpilkowych, n. p. świerków, znajdowały się miejsca, porosłe mało cienia dającemi krzakami n. p. różą dziką, gdyż kuropatwy nigdy na nagiej ziemi, ogołoconej z wegetacyi, lęgów nie odbywają.

Do powszechnie już znanych zasad przy urządzaniu remiz (urządzenie remiz dla naszych stosunków podał *Łowiec* 1890 str. 25), dodam tu tylko, iż kto chce w dobrym stanie remizy utrzymać, niechaj bynajmniej się nie kusi sadzić tam jakieś krzaki, któreby mogły wabić dziatwę, np. maliny, ostrężyny i t. p. przysmaki, gdyż ściągną one z pewnością nieproszonych gości, i główny cel remizy zostanie chybiony.

Remizy w naszych stosunkach nie powinny zajmować wielkich powierzchni; owszem małe i gęsto wśród pól rozrzucone odpowiedzą najlepiej swemu przeznaczeniu. Jeżeli np. powierzchnia remizy wynosić będzie 90 metrów kwadratowych, to na 64 takich remiz potrzeba będzie dopiero poświęcić 1 morg ziemi. To co przy oglądaniu remiz widziałem, upoważnia mnie do jak najgoretszego zalecenia małych a gęsto i jednostajnie wśród pól rozłożonych remiz i temu to sposobowi urządzenia zawdzięczają wśród innych warunków kraje na zachodzie nadzwyczaj bogaty stan wybrednego ptactwa myśliwskiego i w ogóle silny zwierzostan polny (n. p. państwo Ballenstedt w księstwie Anhalt).

Nie możnaby sprawie łowieckiej wyrządzić większej krzywdy, jak chcieć udowadniać konieczność poświęcenia gruntów dla celów łowiectwa polnego, i jego wyłącznego użytku. Gdzie tylko łowiectwo nie jest traktowane jako uboczna i w niczem innych dochodów ziemiańskich nie naruszająca produkcya, tam w regule krytyki ekonomicznej wytrzymać nie może. To też nie dziw, gdy swego czasu D. v. Winkell, mając na oku remizy wielkich obszarów wśród uprawy rolnej, przyszedł wreszcie do przekonania, iż są one ekonomicznym nonsensem. Wielkie remizy wyłącznie dla hodowli kuropatw, jakie się znajdują w dobrach magnatów, a między innemi w państwie Frauenburg w Czechach u ks. Schwarzenbergów, gdzie się łowy z obławą i wyżłem odbywają, i gdzie na powierzchni kilku morgów w kilku godzinach setki kuropatw pada — należą wyłącznie do wielkopańskiego sportu, i nie mogą tu być roztrząsane z punktu ekonomicznego. Inaczej rzecz się ma z małemi remizami. Okupione nieznaczną bardzo ofiarą powierzchni, jedynie tylko jako podpory egzystencyi zwierzostanu polnego pojmowane, należą takie remizy do racyonalnych i ekonomicznie usprawiedliwionych zadań nowoczesnego łowiectwa.

Nie chcę tu oceniać wartości luźnych zagajeń wśród pól z innego punktu widzenia jak tylko z łowieckiego, bo zalety, jakie im ze względów agronomicznych przypisują niektórzy autorowie *(Gloger, Nützlichste Freunde der Land und Forstwirthschaft unter den Thieren 1863 str. 83.)* pozostaną jeszcze na długo w ramach rozpraw akademickich. Nie mogę np. uwierzyć, aby remizy, w których spokojnie mogą się gnieździć trzmiele i inne owady ziemne, przyczyniać się miały w ten pośredni sposób do lepszego okwitania koniczyn i innych roślin motylkowych. Żadnej sprawie nie pomaga się, przypisując jej mnóstwo niepewnych i nieokreślonych zalet, które jako niepewne czynią z niej bezprzestannie przedmiot polemiki. Łatwiej jest wyrządzić setki grzeczności niż jedną prawdziwą przysługę, a taką zdaje mi się będzie otwarte wypowiedzenie, iż remizy li tylko w celach łowieckich mają znaczenie, bo znaczenie ich dla rolnictwa jest ujemne, a dla leśnictwa żadne. W każdym razie definicya ta potrafi, jak sądzę, tylko zachęcić do poświęcenia tym azylom zwierza polnego większej uwagi, niż to dotychczas u nas czyniono.

Doświadczenia w krajach, w których już bardzo wiele zdziałano dla podniesienia łowiectwa polnego, wykazują, iż pod remizy wystarcza użycie $^{1}/_{1000}$ — $^{1}/_{500}$ powierzchni. Niewielka to zatem ofiara na rzecz łowiectwa ze strony rolnika, a tem mniejsza, iż pod remizy da się użyć wiele miejsc takich, które swem położeniem dla uprawy nie wielkie przedstawiają korzyści.

Przyjąwszy dla przykładu stosunek remiz 1 : 500, wypadłoby na 500 morgów 1 morg pod remizy, ilość zaś tychże, według poprzednio już podanego przykładu, wynosiłaby 64, czyli jedna remiza znalazłaby się na mniej więcej $7^{1}/_{2}$ morgach w oddaleniu jednostajnem około 210 metrów.

Ale trudna sprawa z rolnikiem, bo to zgryźliwe stworzenie; nienawistnem okiem spogląda na każdy krzaczek wśród pola, chociaż mu on w drodze nie stoi, wszystko chce zrównać, każdą piędź ziemi zagarnąć pod rządy pługa i cieszy go dopiero niezmiernie, jednostajna powierzchnia, nudna gdzieindziej, a tu leżącym w niej zasobem pracy wspaniała. Za ciasny zaś bywa jego widnokrąg, aby w środkach podniesienia łowiectwa polnego widział zarazem podniesienie renty ziemi, a więc i jej wartości, aby uwierzył w to, o czem powątpiewają jeszcze dotąd w kołach inteligentnych.

Nie zawsze sama wartość realna zwierzyny stanowi o rzeczy; zwierzynę ubitą, jako tyle a tyle wartą, ocenia handlarz, lecz zwierzyna żywa innej ocenie ulega u myśliwego, a przytem człowieka zamożnego. U takiego właściciela ziemi rozstrzyga zamiłowanie myśliwskie i zachęca do starań wszelkiego rodzaju, a tembardziej do starań niewy-

magających zbyt wielkich ofiar ku podniesieniu łowiectwa. Jednych wabią cyfry suchych dowodów, rębnych drzewostanów, roli pod buraki cukrowe przydatnej i t. p., innym znów wystarcza tak często w niemieckich dziennikach spotykana reklama: *schöner Rehstand, viele Feldhüner und Hasen*....

Rozczarowania, do jakich nieraz remizy doprowadzają, przypisać należy dorywczemu a niesystematycznemu postępowaniu. Kto nie ogołocił okolicy do pewnego stopnia ze zgrai rozmaitych latających i włóczących się drapieżców, ten w remizach urządził tylko spiżarnię dla tej hołoty. Płoszona ciągle zwierzyna unikać będzie wreszcie tych niby to azylów, nie błogosławiąc wcale założyciela, którego dobre ale nieoględne chęci zgotowały drapieżcy doskonałą zasadzkę.

Trzymając się wszelkich prawideł racyonalnego łowiectwa, nie bywamy i w tym skromnym zakresie pracy ekonomicznej wolni nieraz od przykrych zawodów. Ale to zrażać nie powinno nikogo, to należy do normalnego stanu w niezbadanym i pełnym tajemnic ogromie natury, gdzie walka i nieraz straszna walka, jest jeszcze zawsze znamieniem życia i postępu, bo Eden zupełnego poznania i pokoju nie zawitał dotąd na ziemi.

To, nad czem niedawno jeszcze biadali, starzy myśliwi, ci myśliwi, których serce biło, a krew grała w pogoni za grubym zwierzem, którzy coraz bardziej smutnieli patrząc jak myśliwstwo „upada“, jak się przemienia w spekulacyę i zorganizowaną musztrę, — jest nieuniknionym i żelazną koniecznością wywołanym objawem. I oby ta musztra coraz dalej prowadzona była w sposób zgodny z zapatrywaniami i wymaganiami naszego wieku. Oby przy pożytku dla całego narodu, zbliżała szerokie koła do czystego źródła poznania praw przyrody, i oby zacieśniała coraz silniej węzły, łączące nas z ukochaną naszą ziemią.

KONIEC.

Bez ludzi.

...Rzuciłem dzienniki ze wstrętem. Zatruły mi kawę poranną. Cóż to za czasy!

Katastrofa w Santander — pięćset skrzyń przemycanego dynamitu eksploduje — okręt leci na trzysta metrów w górę — port się wali, pociąg kolejowy roztrzaskuje się w kawały, okropne szczątki ciał ludzkich zasypują miasto...

Albo te bomby anarchistyczne w Barcelonie, rzucone między najspokojniejszych widzów teatralnych, lub na rynku Marsylii...

Albo ów szewczyk paryski, Leauthier, który topi nóż w piersi nieznanego sobie człowieka, dlatego tylko, że lepiej od niego ubrany. Ani nędza, ani głód, ani zemsta nie wciskają mu w rękę morderczej broni. „Dlaczegoś to zrobił?“ — pytają młodego mordercę. „Dlatego, żeby wykazać, że społeczeństwo jest źle urządzone. Byłbym i pana zabił, choć wyglądasz na dobrego człowieka. Społeczeństwo nie daje mi dość pracy, nie mam dość praw — więc biorę sobie prawo mordowania“.

I żyć tu w takich stosunkach między ludźmi, patrzeć się na te wściekłe szarpania, godne wilków — nie! stokroć lepiej bez ludzi — bez ludzi...

Zgorzkniało mi w ustach, przed oczyma zaczęła się przesuwać jakaś rumiana mgła krwi i mordów — przerzuciłem więc strzelbę przez ramię, i od tych dzienników, od tej cywilizacyi, od tych ludzi, stokroć gorszych od wilków, uciekłem do lasu.

Cóż to za cisza! Jakaż błogość — bez ludzi...

Śnieg sypał bez ustanku przez całą dobę. Spadał z chmur cicho, powoli, jak najdelikatniejszy puch edredoński. Uścielił się na wszystkiem miękką, puszystą powłoką, przykrył wszystko co ciemne i brzydkie, stłumił wszelki odgłos życia, zasiał ciszę, ciszę i ciszę. Okrywszy wysoko gałęzie drzew pochylił je i ubezwładnił, kołysze się na źdźbłach suchej trawy, ustroił ziemię niepokalaną białością jak daleko okiem zasiągniesz, zdaje się jak gdyby uspił wszystkie eole i boreasze i pokonał życie i ruch ziemi, przeradzający się w brud i zbrodnie...

Nareszcie, na tej białej, puszystej, niewinnej osłonie ziemi, ujrzałem się sam, sam jeden, bez ludzi i ich nikczemności.

Z poza mgieł, które się ku górze unosiły, przedzierało się leniwo słońce poranne. Brzozy, stojące na czatach głębokiej kniei, oblane półświatłem fioletowem, gubiły w niem swe kontury, rozpływając się w mgle jak jakieś nadziemskie goplany. Zabłąkana wśród nich dzika grusza, brutalna w swej budowie, a ciemna w kolorycie, odgrywała w tym obrazie rolę Grabca, który ściąga fantazyę na padoł realizmu. Głębia kniei wyglądała jak zapadające się sklepienia świątyń, dawnych wierzeń, dawnych ideałów, w których już tylko anioł grobów krąży...

I wszędzie cisza, cisza i cisza — bez ludzi, bez namiętności, bez zbrodni...

A dokądże idzie ludzkość w swej dziejowej ewolucyi? Wyswobadza się z wszystkich więzów, krępujących jednostkę i nakładających żelazne obowiązki życiu — czy jednak wraca do natury? Jestże w naturze taka subtelność złego? tak rafinowana rządza niszczenia? taka niemoc roskoszy? taka pustka bezcelowa jak w duchu tych zatraceńców, co czując jakieś dreszcze choroby samobójczej, lecą, aby jak najprędzej rozpłynąć się w nicość...

To już nie żarcie się wilka z wilkiem, to żarcie samego siebie, to samobójcza prostracya, zdrowej naturze wcale nie znana. Choroba szaleńców, którzyby radzi wraz z globem rozbryznąć się w kosmiczną materyę i zacząć tworzenie się planet od początku...

I ten biały puch, spływający się w oddali z bladym nieboskłonem, ma nieskończoność i ciszę mgławicy, w której dopiero ziarno życia drzemie, ale wieje zeń jakiś oddech krzepki, który wzmacnia mięśnie i wolę, który prze do czynu, do rozrostu, do potęgi — choćby przez krwawą walkę i niszczenie tysiąca żywotów. I w tem jest energia natury, daleka od szalonych porywów samobójczych.

Ach, to nie dekadent, ten lis, krzyżujący kluczki zajęcze na śniegu. Trop jego wybitny, pewny, prosty, biegnie jak linia, wiodąca najkróciej do celu.

Zwróciłem się za tropem lisa. Przeciąwszy kilka z wytężeniem dokonanych zwrotów biednego szaraka, kończył się on plamą krwi. Do pół w śniegu zagrzebany, leżał tu zajęczyna z odgryzioną głową. Chudy, mizerny, wycieńczony kadawer, który już nie miał warunków do życia. Zalany w pierwszych dniach młodości wodami wylewu wiosennego, skazany na zamuloną paszę, zakażony motylicą, nie miał już sił biedaczysko, aby się mykicie wywinąć. A nawet mykita wzgardził chudą, schorowaną pieczenią. Wracało do natury co z niej wyszło, niezdolne do walki i życia.

Ćwierkotało coś nademną przerywając głuchą ciszę.

Gromadka sikorek strącała biały puch z gałęzi, skacząc, przelatując i wiercąc się z niesłychaną żywością za wszystkiem, co pan Bóg da, żeby się tylko pożywić.

Ani im w głowie zazdrościć jaskółce i bocianowi, że odbywają wojaż na Riwierę – ani im przez myśl nie strzeli, że szczęśliwszym jest orzeł, bo się gnieździ na skale, bo ma dziób krzywy i szpony i wysoko w chmurach się kąpie — a już najmniej obchodzi je fortuna opasłych kaczek domowych, które nie potrzebują na życie pracować, bo im klucznica poślad sypie i od czasu do czasu zarzyna...

To mi zdrowie i życie, przefruwane w pracy, przećwierkane w szczęściu, przepromienione weselem i miłością a hartowane walkami o byt! Cóż mi taki zblazowany dekadent, co ani pracować, ani kochać ani żyć nie umie, obok mojej leśnej sikorki!...

I strzeliłem na wiwat do zawieszonego w powietrzu myszołowa — a on się skręcił, zatoczył i zniknął w sinej oddali, zostawiając w spokoju ten mój biały świat, napozór senny, a przecież wrący życiem i pracą.

* * *

W znacznie swobodniejszem usposobieniu wróciłem do domu, ale gdym tylko rzucił okiem na dzienniki, zaczęła znowu nurtować gorycz w mem sercu.

— Ha, no, mamy mieć wojnę wszystkich przeciw wszystkim — to dobrze. Przemienimy miasta na knieje, ulice na linie miotów — i myśliwy nie będzie w kłopocie. Dynamit, biały proch, strzelnicza bawełna, nitrogliceryna — wszystko dobre, będzie pukanina i niech się świat czyści...

Odgryzłem z niezwykłą energią czubek cygara, zapaliłem strzelającą zapałkę z takim hałasem, jak gdyby co najmniej bomba Orsiniego pękała i począłem robić przegląd mego arsenału.

Dryling, dwie tesznerówki, kordelas, dawna augustówka, stare jak świat Kuchenreitery i prawdziwy buldog amerykański — jest się czem bronić. Wywiesimy tylko sztandar z budującym napisem *Homo homini lupus* i zaczniemy dramat cywilizacyjny *fin de siècle.*

Lecz co u licha popsuło się w tej cywilizacyi?! Postąpiliśmy w chodowli zwierząt łownych, a chodowla ludzi jakoś się nam nie udaje. Mamy przecież istne kuźnie praw na wszystkie strony, jakiemiż u licha szparami wyłazi coraz więcej bezprawia? Co jaki wielki wynalazek powstanie, to nie na to, aby ludzi żywić, lecz żeby ich zabijać. Nareszcie zaczniemy spędzać massy ludzi, jak massy królików do amerykańskiego „corralu“ i wytłuczemy albo puścimy dynamitem w nadpowietrzne szlaki...

Nie pragnę niczyjego, ba, lecz co mam, tego nie dam — będę się bronił jak przed wilkami... Niech spróbują... Kiedy taki szewczyk paryski bierze sobie prawo mordowania, ja sobie biorę prawo obrony. Zobaczymy!

I stanąłem już w bojowej pozycyi z marsem na czole, buchając kłębami dymu jak lokomotywa — gdy wtem uchyliły się drzwi i ukazała się w nich moja żona z uśmiechem na twarzy.

— Niespodzianka! Zgadnij co?

— Zapewne zamek windsorski wysadzili w powietrze, albo wytruli strychniną izbę francuską...

— Co też ty pleciesz! Coś bardzo miłego.

— A, jeśli milsze, to może ich tylko w Sekwanie potopili.

— No, nieznośny! Ani mru-mru z temi farsami. Powiem ci odrazu: Józia przyjechała!

— Co za Józia?

— Nie pamiętasz? Ta sierotka, którą mama znalazła w podróży umierającą z głodu i zimna... co się potem ze mną jakiś czas chowała.

— Ach, przypominam — jasna blondynka, ładna dziewczyna...

— Mniejsza że ładna, ale złota dziewczyna. Jest już nauczycielką i z całym zapałem wzięła się do pracy. Poczciwe dziecko. Pierwsze dni wolne nam oddaje. Nie ma rodziny, przyjechała do nas na wilię.

— To dobrze, to ładnie — rzekłem roztargniony, bo dynamit i nitrogliceryna nie mogły się jakoś odrazu pogodzić w mej mózgownicy z sylwetką ładnej blondynki i pokojową wilią Bożego Narodzenia.

Tak dalece miałem głowę nabitą anarchistycznemi okropnościami, że były one jeszcze przedmiotem rozmowy, gdyśmy siedli do obiadu. Siliłem się, żeby na coś lub na kogoś zwalić winę za wybryki anarchii i czepiłem się złych szkół. Ale blondynka stawiła mi czoło odważnie, z zapałem i niezwykłą logiką wykazywała, że takich zwyrodnień społecznych nie niesie z sobą wyższe wykształcenie, lecz zachwiana równowaga moralna, chciwość, pobudzana przykładami szybkiego bogacenia się bez pracy, chorobliwe wyśrubowanie potrzeb, a niemożność ich zaspokojenia. Co tam więcej było, już nie pamiętam, ale blondynce sekundowała dzielnie moja żona i musiałem powoli ustępować z placu.

Zresztą adwersarce bił z oczu ogień prawdziwie apostolski — czułem, że jeśli ona uczy i szkołą kieruje, to chyba wszystko buduje się na miłości Boga i bliźniego. I najkrwawszego anarchistę gotowa na baranka zahypnotyzować, gdyby się jej dostał w ręce.

Już mi więc raźniej na sercu było, gdyśmy wstawali od czarnej kawy, a pod wieczór nawet całkiem duch we mnie wstąpił, gdy mi gajowy Ilko dał znać, że „na Kuczerawie“ obcięli stadko dzików i że tam pewnie do jutra zalegną, bo dużo bukwi pod śniegiem i mają co żreć.

Kazałem zatrzymać wydawanie sągów, powiedziałem gdzie i jak chłopców poustawiać, żeby się dziki potokiem nie wymknęły, a gdym nazajutrz siadał na proste sanice, rzekłem sobie w duchu:

— No, chwała Bogu! Jeszcze tylko na dziki, nie na anarchistów!

Poranek był znowu prześliczny i już od pierwszych brzasków bardzo pogodny, bo w nocy się wypogodziło i mróz nieco chwycił. Lekki puch śnieżny zbił się i stężał, a hieroglifów łowieckich napisało na nim przez noc znacznie więcej. Knieja rysowała się energiczniej na niebieskiem tle horyzontu, w całej naturze było mniej marzycielstwa, a więcej jędrności i trzeźwości, jakgdyby patrzyło na ciebie spo-

kojne oko doświadczenia, które już przebyło wiele, które zna zbrodnie i cnoty i które po krwawych szlakach i ofiarach patrzy niezachwianie w ostateczne cele życia. Z przytłumionym sze'estem spadały od czasu do czasu kiście śniegu z gałęzi i prostowały się drzewa jak gdyby wstając z zadumy marzycielskiej.

Już mnie cały świat nie obchodził i Madryt i Barcelona i Santander, tylko dziki „na Kuczerawie". Wyobrażałem sobie w duchu, jak gwiznę odyńca w ślepie, a lochę w komorę i wyrznę dubletę, jakiej świat nie widział.

Gdym się jednak zbliżył pod Kuczerawę, widzę rzadkie miny gajowych i nagonki. Chodzą, obchodzą kotlinkę, patrzą coś po śniegu, skrobią się w głowę i kłócą.

— Hej, co tam Ilku? — wołam na gajowego.

— Ta szczoż, proszu jaśnie pana, dykiw ne ma...

— A bodaj was milion kroć sto tysięcy! — wrzeszczę na całe gardło i zeskakuję ze sanic. — Cóż się stało?

Wszystko milczy, kuczmy pozdejmowało, i skrobie się w głowę.

Idę tedy sam w koło miotu i natrafiam na świeżuteńkie tropy.

A bodajże ich gęsi podeptały! Trop odyńca jak nosorożca, jest i locha i wycinki i parę warchlaków, ale wszystko świeżo, świeżuteńko, może przed godziną, wyniosło się z miotu. Poszły sobie najspokojniej potokiem, bo przesmyku chłopcami nie obstawiono. Na dobitkę znajduję świeży ślad sani, przecinających tropy.

— A to kto jeździł?

— Ta po sągi proszu jaśnie pana...

— Bodajże was pioruny pozabijały! A czyżem nie zakazał sągów dziś rano wydawać?

I krzyczę, zły jak szatan, trzęsę się ze złości, chłopom mało głów nie pourywam, wreszcie wskakuję na sanie i wracam do domu z najokropniejszemi przekleństwami na ustach.

Piekło było w domu; nikt do mnie przystąpić nie śmiał, blondynki ani na oczy widzieć nie chcę, żona boi się usta otworzyć — chodzę tylko wielkiemi krokami, klnę na czem świat stoi i rozpędzam całą służbę na cztery wiatry.

Pod wieczór, sapiąc i gryząc bursztyn od cybucha, zasiadłem w fotelu, ażeby obliczyć zasługi leśniczego, gajowych, gumiennego — wszystko mi dziki popłoszyło, niech ich czart porwie...

Co się mam zagryzać z takiemi ciemięgami? Wolę sam zostać — bez ludzi! — bez ludzi! Wolę sobie być sam leśniczym, gajowym i gumiennym, niż cierpieć tych niedołęgów. Bez ludzi!

Wtem siadło coś na poręczy fotela, jak ptaszek na gałęzi i wzięło moją głowę w dwie ciepłe rączki.

— Co też ty robisz mężusiu! Taki waryat! O parę dzików tyle rewolucyi...

— Aha, o parę dzików, dobra sobie! — mruknąłem, ale czuję, że mięknę.

— Cóż sobie pomyśli o tobie sama służba! Jakaż to sprawiedliwość! Nie zrozumieli poleceń, popsuli zabawkę, ale przecież nie mogli trzymać odyńca za rogi aż ty przyjedziesz...

— Odyńca za rogi? Co ty pleciesz! — i śmieję się mimowoli.

— I za to chcesz ich służby pozbawiać?

— A chcę, a chcę! Niech sobie idą na koniec świata. Wolę być bez ludzi, bez ludzi — niż z takiemi niedołęgami.

Nastąpiła chwila milczenia.

Wreszcie żona moja objęła mnie za szyję, przytuliła się jeszcze bliżej i zaczęła mówić długo i słodko.

....Bo widzisz, jeśli się jest gwałtownym, jeśli namiętność staje nad rozumem, to zawsze potem następuje gwałt i niesprawiedliwość. Twoi anarchiści, którzy ci wczoraj spać nie dali, to także tacy, których namiętność zaślepia. Krew im do głowy uderza, czerwono im w oczach, i lecą jak ćmy w płomienie zniszczenia.

....Lecz na szczęście stworzył pan Bóg kobietę, która was wychowuje, wy, gwałtownicy. Jeśli ta kobieta pójdzie na katedrę i zacznie prelegować katechizm zniszczenia — jeśli się stanie furyą pożarów, petrolerką — to może być źle z całem społeczeństwem. Ale takie zwyrodnienie kobiet nie może się ostać długo w społeczeństwie.

... My mamy rękę miękką — nie stać nas na suche doktryny, jeden pocałunek zamyka nam usta i zmienia przekonania. Tylko ten gwałtowny pan świata, mężczyzna, powinien nas więcej do swych spraw dopuszczać, troską swej pracy i bolem swych walk bardziej się z nami dzielić.

...Czy myślisz, że my nie potrafimy częstokroć więcej, niż wasze ustawy, policyanci i więzienia? Prawo głuchem i martwem jest bez miłości bliźniego i bez miłosierdzia. Wy sobie wymyślajcie srogie ustawy na anarchistów — my pójdziemy na nich z kodeksem Chrystusa w ręce i zobaczymy, kto więcej zyska. Nieraz już kobieta sercem swem i dłonią ciepłą rozwiązywała węzły kontrastów społecznych i dziś je rozwiązywać potrafi. Tylko jej zostawcie więcej pola do działania. Zaufajcie jej cierpliwości, wytrwałości i miłości, a na lepszych podstawach oprze się sprawa tej wewnętrznej cywilizacyjnej ewolucyi, która dziś tyle zboczeń objawia...

....Ty, niepoczciwy gwałtowniku, chciałeś dziś sam zrobić kilku niechętnych, kilku anarchistów swą niesprawiedliwością, dla kaprysu ale nic z tego...

I mówiąc to wyjęła mi pióro z ręki, a potem położyła mi palce na ustach, ażebym nie protestował.

...Ty chcesz być bez ludzi, bez ludzi, szkaradniku — wytępiłbyś wszystko koło siebie, bo nie wierzysz, że na dnie wszystkiego jest tylko jedna bogini, której cała ziemia cześć składa, której zwierz i człowiek słucha, która już nie raz w szczęśliwszych erach ludzkości była wyłączną panią i władczynią ludzi, i znowu nimi zawładnie — jedna bogini Miłość.

Podniosłem oczy na kaznodziejkę i ciepło rozeszło się po mych żyłach, a ona wzięła znów głowę moją w małe swe dłonie i zwróciła oczami ku obrazkowi olejnemu, który wisi u mnie nad biórkiem.

Jest to idylla ptasia na polanie leśnej przy pierwszych blaskach wschodzącego słońca. Cieciorki przysiadają wśród zeschłych szczątków trawy, której świeże piórka wywołuje wszechwładny promień wiosny, a tuż cietrzew włóczy skrzydłem, szlifuje i bełkocze drepcąc koło cieciorki. Płodnością tchnie cała natura, skośne promienie zorzy zapalają ogień na dnie wód wiosennych, wszystko zdaje się spiewać hymn miłości i życia...

Zdziwiony, że i w tym obrazku, jak gdybym go po raz pierwszy widział, kończy się ślepy gniew miłością, uśmiechnąłem się, podniosłem ramiona i utonęliśmy w długim uścisku. I powiedziałem sobie w duchu, że już nie chcę żyć bez ludzi, owszem, że chcę ich mieć jak najwięcej w koło siebie — i maleńkich i większych i dużych — i już nie wątpię, że na ziemi nie ostoją się same wilki i dziki, lecz są i będą ludzie.

St.

Drapieżne zwierzęta na Sybirze.

Spis zwierząt drapieżnych, przebywających na Sybirze, byłby bardzo długim. Nie myślimy też przechodzić go szematycznie i zapuszczać się w opisy drapieżców sybirskich, ale pragniemy na podstawie zapisków Dr. A. E. Brehma (*Vom Nordpol zum Aequator)* podać niektóre mniej znane szczegóły łowienia zwierząt drapieżnych przez Sybiraków.

Wilk i niedźwiedź stoją na czele naszej galeryi— im się więc pierwszeństwo należy.

Sybiracy, podobnie jak i lud rosyjski innych okolic, wierzą święcie, że karmiąca wilczyca unika starannie wszelkich łowów i napadów w pobliżu swego legowiska, ale mści się okrutnie, jeśli jej zabrać wilczęta, biegnie za rabusiem aż do jego wsi rodzinnej i czyni spustoszenia w jego bydle. To też Sybirak, bojąc się tej zemsty, nie wybiera wilcząt znalazłszy legowisko, tylko podcina im ścięgna w nogach i czyni je tym sposobem kalekami, niezdolnemi do ucieczki. Wilczek taki, opuszczony w jesieni przez matkę, która już nie czuje się obowiązaną żywić podrastające pokolenie, staje się łatwą zdobyczą Sybiraka i daje mu znacznie większy zysk w futerku, niż ssące szczenięta.

Sposoby polowania na stare wilki są bardzo rozmaite i po większej części znane: doły wilcze, żelaza, strychnina, obławy z nagonką, podjeżdżania sankami, polowanie na prosiaka, — o wszystkiem tem nieraz już pisano. Mniej znanym sposobem jest chwytanie wilka między płotki. W tym celu robi się nieopodal wsi małą. okrągłą, około dwóch metrów w średnicy mierzącą zagrodę w ten sposób, że tworzą ją dwa okrągłe na silnych kołach plecione płoty, jeden zewnętrzny a drugi taki sam wewnętrzny, około pół metra od pierwszego oddalony. Wewnętrzny płot jest pełny, bez otworu, zewnętrzny zaś ma drzwiczki otwierające się na wewnątrz i tak urządzone, że jeśli się je ze środka zatrzaśnie, to zapada silna zapora i już ich otworzyć nie pozwala. Oba płoty są z góry poszyte daszkiem, w którym się mieści zatuła do otwierania.

Sporządziwszy taką zagrodę czy stajenkę, umieszcza Sybirak w środku kozę — i łapka na wilka już gotowa. Koza, odsunięta od reszty chudoby, przerażona samotnością, beczy całą noc i zwabia swym bekiem wilka. Nie ufa on zrazu samotnej stajence, ale głód i chciwość mordu, podniecana ciągłem beczeniem, bierze w końcu górę nad wilczą roztropnością — biegnie więc basior w około, szukając otworu, a znalazłszy uchylone drzwiczki wpada do środka, tj. między oba płoty. Przerażona śmiertelnie koza rzuca się konwulsyjnie, wilk czuje ją i chce pochwycić, biegnie w około, a wróciwszy do drzwiczek zamyka je ciężarem swego ciała — i już jest złapany. Po długich a daremnych bieganinach w kółko i wilka i kozy wewnątrz drugiego płotu, następuje wreszcie chwila opamiętania. Koza poczyna miarkować, że jeszcze jej ostatnia godzina nie wybiła, wilk zaś czuje się zaniepokojonym, że nie ma którędy wyleźć. Poczyna tedy grzebać i drzeć szczepy z silnego ostrokołu — wszystko nadaremnie — wyje z wściekłości, lecz to nietylko nic mu nie pomaga, ale sprowadza nieprzyjaciół. Oto na wschodzie zaczyna już szarzeć, odzywa się szczekanie psów, słychać głosy ludzkie, zbliżają się z kołami i arkanami ku zagrodzie. Wilk kładzie się w najciemniejszym zakątku jak nieżywy, ale tem Sybiraka nie zwiedzie. Otwiera się w daszku zatuła — wysuwa się ręka i arkan spada na leżące zwierzę. Basior jeszcze raz wyskakuje, oczy mu się iskrzą, zęby kłapią, szaleje i chce przerazić, lecz arkan go chwyta i dusi.

Niedźwiedź sybirski wiedzie podobny żywot jak u nas; w ciągu lata włóczy się z kniei do kniei i straszy ludzi tu i ówdzie pojawieniem się niespodziewanem. W dojrzewających zbożach robi szkody nadzwyczajne, wydziera barcie, łasuje za jagodami leśnemi. Pod jesień ciągnie w góry, ku szczytom, z chciwością łasuje na limbach czyli kiedrynach dojrzałe w szyszkach orzeszki, dorastające na Sybirze znacznej wielkości i słodkie jak migdały. Pod zimę schodzi z gór w doły, szuka najchętniej między wiatrołomami, stósownego miejsca na gawrę, wyściela ją liściem i mchem, wysoko zasłania od wichrów i przesypia zimę pod śniegami. Rozwaliwszy gawrę na wiosnę jest wychudły, zgłodniały i najzuchwalszy. Wtedy rzuca się na owce i bydło na pastwiskach, a nieraz i ludzi napastuje.

Bywają też z nim przeprawy, nawet pełne niebezpieczeństw, ale Ostjak jest odważny i z lada oszczepkiem, owinąwszy lewą rękę płatami kory brzozowej, dotrzymuje miejsca rozżartemu mysiowi. Więcej ufa kordelasowi, godzącemu w serce mysia, niż strzelbeczce z siekańcem, która go tylko drażni, a rzadko ubija. Po całym Sybirze głośną była prosta dziewka z Morszowy, na Uralu, która z kordelasem w ręku więcej niż 30 niedźwiedzi położyła.

Najpewniejsze i najmniej niebezpieczne spotkanie z niedźwiedziem jest w zimie, jeśli się uda chłopu wykryć gawrę niedźwiedzią. Szczęśliwy znalazca godzi się już o skórę takiego niedźwiedzia, zwołuje sąsiadów i myś pada w regule ofiarą bliskich strzałów i kołów, któremi go z legowiska wyszturkują.

Oprócz popłatnego futra, przywiązuje przesąd Sybiraków niemałą wartość do rozmaitych części z niedźwiedzia, szczególniej do zębów i pazurów. Tnący ząb mysia, który poległ mężnie w otwartej walce z człowiekiem, to drogocenny talizman, dodający sił i odwagi i zabezpieczający nietykalność przed bronią wszelkiego rodzaju. Czwarty pazur z prawej łapy niedźwiedzia, to znowu pokusa dla dziewcząt, bo każdy chłopiec, którego się tylko uda pazurem takim poskrobać, musi się na śmierć zakochać w dziewczynie.

Znaną gdzieniegdzie, ale zawsze wesołą, jest następująca historya o mysiu sybirskim.

Chłop napakował parę worków pineli tj. orzeszków limbowych na wóz i jedzie przez las. Jeden worek się rozpruł, słodkie orzeszki sypią się po trosze na droge. Ujrzał je myś wychodzący z gąszczy, zaczyna zbierać i idzie drogą w ślad za orzeszkami. Wtem zatrzymał się chłop, okręcił lejce koło literki i poszedł w las, bo ma tam jeszcze parę worków z pinelami i chce je naładować. Tymczasem przyszedł i niedźwiedź do wozu, a widząc pełne worki łakoci, wygramolił się na wóz i biesiaduje. Konie poczynają się niepokoić — jeden i drugi ogląda się, co to za nowy gospodarz na furze — i dalejże z kopyta, ciągnąc za sobą wóz i niedźwiedzia. Teraz mysia strach zbiera, chciałby skoczyć i boi się, mruczy ze złości, a to konie jeszcze bardziej przeraża, wśród tumanów kurzu pędzą zatem co sił starczy do wsi.

We wsi nastrój uroczysty. Czekają właśnie na metropolitę, który ma przybyć. Paroch z ewangelią i cała gmina świątecznie przyodziane czeka u bramy tryumfalnej, ażeby Najprzewielebniejszego powitać. Pokazują się tumany kurzu na drodze. Już jedzie! Pałamar daje znak i chłopcy walą w dzwony cerkiewne. Wtem wpada fura z przerażonemi koniętami, a na furze jeszcze bardziej przerażony i ryczący niedźwiedź, którego dzwony cerkiewne do reszty otumaniają. Pisk i krzyk między kobietami, rwetes w całej wsi, nikt nie wie co się stało, nareszcie gromada z widłami i kołami wali za furą, z którą zdyszane konięta wpadają prosto na obejście swego chlebodawcy. Tu następuje ostatni akt; głupi myś ginie pod widłami i kołami, i ludność, ochłonąwszy z przerażenia, wraca do bramy tryumfalnej.

Ryś jest dość rzadkim na Sybirze, a równie samotnym i skrycie żyjącym jak u nas. Gdy ma dość zajęcy, wiewiórek, głuszców, cietrzewi i jarząbków, nie opuszcza niedostępnych, najciemniejszych ostępów kniei; dopiero głód lub cieczki godowe sprowadzają go ku brzegom lasów.

Doświadczeni myśliwi wschodniego Uralu twierdzą, że ryś zwykł się w zimie trzymać niedaleko niedźwiedzia, i że po tropach jego można niedźwiedzią gawrę wynaleźć.

Ubicie rysia uważa Sybirak za dzielny czyn myśliwski, futro na nim zdobyte ma zawsze większą wartość, a mięso poczytywane jest za smaczny kąsek. Z zachodniego Sybiru wysyłają futra rysie najchętniej do Chin, bo je tam najlepiej spieniężyć można. Na stępice i samopały bardzo rzadko da się rysia złapać; żelaza nastawione przeskakuje — myśliwemu pozostaje więc tylko celny strzał, aby rysia dostać.

Polowania na rysia odbywają się tylko w zimie, na białej stopie, za tropem, najczęściej na łazidłach śniegowych i z psami, które rysia na drzewie lub na ziemi wystawiają, szczekaniem przywołując myśliwego. Nieraz rzuca się ryś na psy i srogo je kaleczy, a w ostatecznej obronie godzi nawet na człowieka.

Rzecz wielce szczególna, ale i tygrysy zachodzą czasem na Sybir. Muzeum Barnaul posiada dwie sztuki tego drapieżcy, ubitego na Sybirze w latach 1838 i 1848. W dwadzieścia kilka lat później padł znowu jeden tygrys, który zdobi muzeum szkolne w Omsku, a inny gospodarował dość długo po europejskiej stronie Uralu, w okolicach Czelaby, czyniąc spustoszenia w bydle i strasząc ludzi. W południowo-wschodnim Sybirze i w Turkestanie pojawia się tygrys stale i dość często.

Sobole, tumaki i kuny zdziesiątkowało dziś już nadmierne tępienie tych zwierząt i chciwość na futra ich, zawsze wysoko cenione. Szczególniej sobol stał się już dziś bardzo rzadkim na Sybirze. Pożary lasów w środkowo wschodniej części Uralu miały się do zniknięcia tych zwierząt w przeważnej części przyczynić. Nad dolnym biegiem Obu pada jeszcze corocznie około dwadzieścia sztuk soboli, których skórki na targ do Jelisarowa wędrują.

Tumak jest zwierzyną o wiele częstszą. W okolicach Tagilska wynosi zdobycz futerek tumakowych każdej zimy od 30 do 80 sztuk. Im więcej wiewiórek w okolicy jakiej się pojawi, tem więcej tumaków można się także spodziewać, bo wiewiórka, to najzwyklejszy łup tumaka i kuny, obok kuraków leśnych, na które chętnie polują.

W jeziorach i wodach Irtyszu i Obu jest jeszcze mnóstwo wyder; borsuk zjawia się rzadko; lisów zwyczajnych, którym wilk wypowiedział zaciętą wojnę, jest dosyć, a zachodzi tu także lis polarny w pogoni za zającem i pardwą tundrową; rosomak wiedzie skryty żywot w niedostępnych gąszczach, rabuje zwierzynę z nastawionych pastek, a dla futra nie jest tak chętnie poszukiwany jak ryś lub tumak.

Pomimo, iż zastęp drapieżnych zwierząt na Sybirze znacznie się już przerzedził, puszczają się jeszcze Sybiracy gromadkami po trzech lub pięciu na dłuższe polowania w zimie. Oprócz strzelby i amunicyi, każdy z takich myśliwych bierze bat za pas, a na plecy zarzuca worek z najpotrzebniejszemi prowiantami, jak chleb, mąka, słonina, sól, wódka, herbata, samowarek, kubek itp. Cztery lub sześć psów towarzyszy myśliwym, a bat służy nie na nic, lecz do wypłaszania wiewiórek.

Kierując się słońcem we dnie, a konstelacyami w nocy, przebiegają ci zahartowani myśliwi całemi tygodniami leśne puszcze i nocują w nich, żywiąc siebie i psy ubitą zwierzyną z dodatkiem tego, co niosą ze sobą. Psy, na których trudnoby jakąkolwiek rasę książkową skonstatować, a które mimo to wybornemi są tropowcami i farbowcami, wyszukują wszystko, co się da tylko wyszukać i wystawiają zwierza na ziemi czy na drzewie, przywołując myśliwego szczekaniem. Myśliwy, któremu proch drogi, nie spieszy się wówczas z strzelaniem, lecz oparłszy długą swą flintę na gałęzi lub na widełkach, mierzy do wystawionego tumaka lub wiewiórki jak do celu i najczęściej nie chybia. Jeśli się da, mierzy w oko zwierzęcia, gdyż wtedy nie tylko nie uszkadza futerka, ale nie traci ołowiu, kulka bowiem da się po obieleniu w głowie zwierza łatwo odszukać.

Gdy noc nadejdzie, sporządzają myśliwi obozowisko, najchętniej między wywróconemi od wiatru drzewami. Wtedy wygrzebuje myśliwy w śniegu, tuż obok kłody, jamę dość długą i szeroką i roznieca w niej ogień z naniesionych gałęzi. W pośrodku takich jam zakładają jeszcze większe ognisko, i jeden z towarzyszy zajmuje się przyrządzeniem wieczerzy. Wtedy, przy kubku gorącej herbaty, z lulką w zębach, następuje gawędka, relacya o szczegółach przebytego dnia i plany na następny. Tymczasem w wygrzebanych w śniegu łożach wypaliły się łomaki do szczętu, zapaliła się nawet potężna kłoda, tli i dymi. Myśliwy wygrzebuje tedy żar z jamy o ile możności najstaranniej, bierze psa w nogi i okrywszy się jak można zasypia pod tlejącą kłodą jak w ciepłem łóżku. Czasem tam trzaśnie i spadnie jaka iskra, ale na takie drobiazgi nie zważa ani myśliwy ani pies jego — a kłoda lepiej grzeje, niż rozniecone w środku ognisko.

Czasem bywa lepiej, bo odnajdzie się chatę, zbudowaną niegdyś z całych berwion, a ta daje przytułek na kilka dni z rzędu. Z chaty takiej urządzają myśliwi wycieczki w około, nietylko z bronią lecz także ze stępicami, żelazami i innemi przyrządami chwytnemi, które w chacie zostawiono. I tak dorabia się myśliwy znaczniejszej liczby skórek z soboli, tumaków, wiewiórek itd., o które się już naprzód z kupcem umówił — i zagarnia po skończonych łowach dobrze zapracowany zarobek, który mu choć resztę ciężkiej zimy bez trosk o chleb codzienny przeżyć pozwala.

St.

Hekatomby królików w Kalifornii.

Podaliśmy w ostatnim numerze *Łowca* przerażające zaiste szczegóły o rozmnoży i tępieniu królików w Australii. Lecz nie sama tylko ta część ziemi nawiedzona jest plagą króliczą. Oto za jednem z pism amerykańskich powtarzamy opis polowania na dzikie króliki w powiecie Fresno w Kalifornii.

Powiat Fresno jest bardzo urodzajny, odznacza się przedewszystkiem rozległą uprawą winogron, których się tu co roku tysiące ton zbiera, aby je później w kształcie rodzenków i wina wysyłać na targi świata. Do powiatu tego należy dolina San Joaquin, która się rozciąga setki mil na północ i południe i jest 100 mil (angielskich) szeroką. Po całej dolinie od gór do gór znajdują się rozrzucone sady i piękne winnice, z których dolina San Joaquin słynie.

Gdy zima nadchodzi, a winorośl i drzewa tracą liście, gdy poczyna padać deszcz i gdy świeża, zielona trawa wyrasta z ziemi spalonej skwarem letnim, natenczas pojawiać się zaczynają dzikie króliki w niezmiernej liczbie. Przypuszczanoby, że zielona trawa powinna im wystarczać, lecz wolą one obgryzać korę młodych drzew owocowych i winorośli. Zwyczajnie obgryzają korę u dołu młodego drzewka. Przybywają ze wszystkich stron, a nikt nie wie skąd. Są prawie trzy razy tak wielkie, jak tak zwane „cottontail“ króliki. Ukrywają się starannie w trawie, a trudno ich odkryć, gdyż barwą sierci nie różnią się wiele od koloru ziemi. Leżą, nakrywszy ciało długiemi słuchami, i trzeba prawie stąpać po nich, aby je zniewolić do wyskoczenia. W takim razie biegną najdalej do 150 yardów i ukrywają się ponownie. Niszczą całe sady i winnice. Człowiek może chodzić całemi dniami po winnicy i nie spostrzeże żadnego królika, a tymczasem są tam setki tych szkodników ukryte.

Próbowano rozmaitych środków, aby się pozbyć tej plagi, lecz napróżno. Dlatego postanowiono urządzać obławy co 60 dni lub częściej, gdyż liczba królików zdaje się powiększać tem bardziej, im więcej ich się zabija.

Dzień i miesiąc obławy ogłasza się we wszystkich gazetach wychodzących w dolinie San Joaquin. Ponieważ grunt jest równy, urządza się nagonką na odległość 10 do 12 mil, tak, iż „corral“ czyli miejsce, do którego się króliki zapędza, znajduje się 8 do 10 mil od miejsca rozpoczęcia obławy. Przedtem wybudowano szczelny parkan, otaczający około 500 yardów kwadratowych, pozostawiwszy otwór czyli wchód na 50 stóp szeroki — i to jest tak zwany „corral“. Od głównego wchodu corralu rozchodzą się na zewnątrz w liniach rozbieżnych dwa płoty tak szczelne, aby królik nie mógł się przez jaki otwór przedostać, a są one na 5 stóp wysokie i sięgają do trzech mil długości. Przy takiem urządzeniu, gonione króliki, dostawszy się raz na linię płotów, nie mogą się już na boki wymykać, lecz coraz gęstszą gromadą muszą wchodzić do corralu.

W dniu na obławę oznaczonym zgromadzają się wszyscy mieszkańcy, począwszy od zamożnego farmera aż do bosego chłopca. Zwyczajnie przybywa też wiele widzów. Mężczyzni i chłopcy są uzbrojeni w pałki, które służą do wypłaszania królików z zarośli i do zabijania ich w corralu. Nie wolno mieć przy sobie strzelb lub rewolwerów.

Za znakiem danym przez „jenerała“, który ma naganiaczy pod sobą i linię ich w porządku utrzymuje, rozpoczyna się nagonka. Chłopcy krzyczą, hałasują i biją po krzakach pałkami. Za pieszymi jadą ludzie na koniach lub w wozach. Tu i owdzie wyskakuje królik, biegnie kilkaset yardów i ukrywa się w trawie lub w winoroślach. Inny usiłuje przedrzeć się przez linię nagonki, lecz podbiega pod pałkę i znajduje śmierć.

Gdy już parkany można spostrzedz, widać także tysiące królików. Niektóre z nich usiłują się zwrócić, lecz znajdują zawsze śmierć a zapał i gorączka mordowania biednych długouchów wzmaga się między nagonką tem bardziej, im bliżej ku corralowi. Płoty się ścieśniają, falanga królików coraz gęstsza i chociaż jeszcze dosyć daleko do corralu, słychać trwożliwy pisk królików, widzących odwrót odcięty.

Nagonka zbliża się ku końcowi. Setki mężczyzn i chłopców uwijają się gorączkowo — poza niemi ciągną konie i powozy — tumany kurzu wzbijają się w górę, duszą i przysłaniają widok. Ponad wszystkiem góruje teraz pisk królików i na ziemi leżą tuziny nieżywych tych zwierząt. Przy wchodzie do „corralu“ scena jest przerażająca. Niektóre króliki, podobnie jak ranione zające, wydają z siebie krzyk, przypominający kwilenie dziecięcia. A jest ich tam ze 20.000 zapędzonych na jedno miejsce. Zabijanie mizernych tych zwierząt zajmuje mało czasu, lecz groza mordu przejmuje serce niejednego, który brał udział w takiej obławie. Każdy jest zadowolony, gdy się już wszystko skończyło. Niektóre miejsca „corralu“ około Fresno były pokryte na dwie stopy nieżywemi królikami. Zawieszono je następnie na płotach i policzono. Było ich przeszło dwadzieścia tysięcy!

G. P.

WALKI W MENAŻERYACH.

Zwierzęta tresowane są zazwyczaj wielce łagodnego usposobienia. Dzięki stałym stosunkom z człowiekiem, lew, udający ekwilibrystę, lampart, skaczący przez obręcze, tygrys jeżdżący na bicyklu, zapominają o szorstkości swego naturalnego charakteru i żyją pomiędzy sobą na stopie obojętnej przyjaźni. Ale w niższych warstwach rozwoju zwierzęcego, gdzie nie przeniknęły żadne błyski cywilizacyi ludzkiej, starcia są poważniejsze, walki zaś częściej śmiertelne. Dopuszczony do słynnej menażeryi Hagenbecka w Hamburgu jeden z korespondentów angielskich tak o tem pisze:

Doświadczony dozorca menażeryi nie będzie nigdy zbytnio dowierzał przyjaźni dwóch wężów z gatunku boa dusiciel, zamkniętych w jednej klatce. Od czasu do czasu śmiertelne pojedynki wszczynane bywają pomiędzy gadami, a nietrudno odgadnąć przyczyny tych zapasów. Jeżeli w waśniach ludzkich prym trzyma zasada „szukaj kobiety“, w waśniach wężowych należy szukać.. królika.

Przez czas dłuższy w menażeryi Hagenbecka żyły obok siebie w tej samej klatce dwa boa dusiciele, a nigdy najmniejszej sprzeczki między niemi nie dostrzeżono. Pewnego dnia dozorca, karmiący węże, zamiast podzielić żer pomiędzy płazy, rzucił im całego królika. Nie ma przyjaźni w świecie wężów, któraby wyszła zwycięzko z takiej próby. Boa mniejszy, rozwinąwszy w jednem poruszeniu swe zwoje, ubiegł swego towarzysza i schwycił zdobycz, gdy oto uczuł, że opasują go straszliwe uściski. To jego towarzysz skorzystał ze swej przewagi fizycznej, aby odebrać słabszemu łup i pochłonąć go w całości.

Mniejszy wąż zniósł na razie krzywdę cierpliwie, ale nie porzucił myśli zemsty. Doczekał się chwili, gdy większy boa, obezwładniony pracą powolnego trawienia połkniętego w całości królika, nie mógł się bronić, rzucił się nań, ukąsił go straszliwie razy kilkanaście i starał się go udusić w uściskach. Starszy widząc, iż w otwartej walce nic nie wskóra, przycichł, udał nieżywego i pozostawał przez kilka minut bez ruchu. Syt zemsty wąż mniejszy porzucił swą ofiarę. Nazajutrz węże żyły już z sobą w dobrej komitywie.

Niekiedy jednak walki mają rezultat tragiczniejszy. Hagenbeck pokazywał między innemi olbrzymiego boa, którego z konieczności skazał na żywot najzupełniej odosobniony. Ongi boa ten miał towarzysza klatki, ale unicestwił go za jednym zamachem. Przez lat kilka dwa płazy pozostawały w najlepszej harmonii, gdy oto weszła do klatki niezgoda w postaci żywego królika. Żwawszy boa rzucił się na zwierzątko i połknął go, zanim powolniejszy doczołgać się zdążył. Zawiązała się walka straszliwa, której rezultatem było to, iż pokrzywdzony wąż pożarł krzywdzącego całkowicie, wraz z królikiem pochłoniętym.

Żarłoczność tego węża przechodziła wszelkie granice. Kiedyś Hagenbeck kazał na próbę dawać płazowi żer, dopóki zapragnie. Okazało się, że żarłok połknął całe cztery barany. To prawda, iż po uczcie tak obfitej, przez dziewięć dni z rzędu odmawiał pożywienia.

Do najzawziętszych w pojedynkach należą aligatory. Płazy te, jak wiadomo, szczególną opieką otacza Floryda. Nie wolno ich tam zabijać pod karą 100 franków, w niektórych zaś porach roku grzywny powiększane bywają w czwórnasób. Aligatory nad zatoką meksykańską cieszą się poszanowaniem zupełnie takiem, jakiego w starożytności zażywały krokodyle nad Nilem. Są one zawziętymi nieprzyjaciółmi szczurów, niszczących plantacye cukrowe; ztąd poszanowanie i opieka. Niestety, aligatory nietylko są amatorami szczurów; gustują również w mięsie młodych murzynków, których dziesiątkom, a nawet setkom rokrocznie odbierają życie.

Przewiezione do Hamburga aligatory żyją w ciągłych waśniach z sobą, a walczą często dla miłości sztuki, bez żadnego widocznego powodu. Pewnego razu wynikła walka okrutna pomiędzy sześcioma płazami, zamkniętemi w jednej klatce. Trzy z nich miały po walce paszczęki zdruzgotane, wszystkie pozostałe potraciły po dwie łapy. Po 15-tu dniach wszyscy zapaśnicy zdechli z ran odniesionych.

Gdy aligatory po długiej podróży przybędą do Hamburga (w czasie przeprawy morskiej przewożone bywają w skrzyniach zamkniętych), światło dzienne wprowadza je w stan takiego rozdrażnienia nerwowego, iż, rzecby można, czują potrzebę mordowania się wzajemnego. Właściciele menażeryj, znając tę właściwość płazów, nakładają im na czas pewien na paszczęki rodzaj kagańców. Operacya ta jest tem trudniejszą, iż najsilniejsze nawet kagańce rzemienne pękają jak nici, a metalowe są szkodliwe dla zdrowia płazów. Dozorcy więc muszą wiązać paszczęki aligatorom grubemi linami okrętowemi. Po kilku dniach szalonego miotania się po klatce, aligatory przyzwyczajają się do światła, pokornieją, a wówczas zdejmuje się im kagańce.

Niekiedy pojedynki w menażeryach mieszczą w sobie wiele żywiołu humorystycznego. W menażeryi Hagenbecka np. znajdował się kangur, który z niewytłómaczonego powodu żywił nienawiść do swego bezpośredniego w menażeryi sąsiada, hipopotama. Ilekroć dozorcy zapomnieli zamknąć na noc wierzch klatki, kangur przeskakiwał przez ogrodzenie i wskakiwał do basenu, w którym hipopotam spoczywał snem sprawiedliwego. Obudzone zwierzę uciekało z początku wpław, ale kangur, po pas w wodzie, atakował go zawzięcie. Jak wiadomo, kangury od urodzenia mają dyplomy na doskonałych bokserów. Otóż nic komiczniejszego, jak zwinny kangur, boksujący zawzięcie niezgrabnego hipopotama. Razy padały jeden za drugim, a nieszczęsny hipopotam napróżno starał się pochwycić napastnika swemi potężnemi zębami. Wreszcie, znudzony bezowocną walką, hipopotam brał się na sposób: znosił uderzenia w same nozdrza cierpliwie i starał się przyprzeć kangura do kamiennej balustrady basenu. Ale w chwili, gdy gra zaczynała stawać się niebezpieczną, kangur wyskakiwał z basenu i z tryumfem powracał do swej klatki, syt boksowania i powodzenia.

Walki takie obserwowano w menażeryi Hagenbecka kilkakrotnie.

N.

KORESPONDENCYE.

Wieliczka, d. 4 listopada.

(Jeszcze sprawa „uczonych“ dozorców polowania).

Podobny cios jak na p. Mieroszowskiego z Biskupic, wymierzył tutejszy p. Starosta na Dr. Władysława Lisowskiego, właściciela Korabnik — rozpisał licytacyę na dzierżawę polowania gminnego, które już na rok z góry było zapłacooe i na polowanie na gruntach dworskich w Korabnikach, które wynoszą więcej niż 200 morgów. Rekurs Lisowskiego zwróciło Namiestnictwo z następującem rozporządzeniem:

L. 63389 — Zwraca się Panu c. k. Staroście w Wieliczce do wyjaśnienia, kiedy i w jaki sposób zostało sprawdzone, że Kajetan Jankowski nie posiada przepisanej §. 13. rozporz. minister. z 15 grudnia 1852 Dz. p. p. Nr. 257 kwalifikacyi na dozorcę polowania pomimo, że według doniesienia posterunku c. k. Żandarmeryi w Sieniawie z 30 czerwca 1893 L. 239, pełniąc służbę leśnego od 25 lat, może za uzdolnionego myśliwego być uważany. Lwów 7 września 1893.

Łoś w. r.

Reskryptem z d. 21 września 1893 L. 65078. Wys. c. k. Namiestnictwo ponagliło o odpowiedź, a p. Starosta odpowiedział co następuje:

„Wysokie c. k. Namiestnictwo! Przy zwrocie reskryptów z d. 7 września 1893 L. 63389 i z d. 21 września 1893, L. 65078 wraz z załącznikami, donoszę Wysokiemu c. k. Namiestnictwu, iż §. 4. ministeryalnego rozporządzenia z d. 31 Lipca 1849 r. Dz. p. p. N. 342 zawiera postanowienie: *„Unter Sachverständigen sind aber nicht bloss gelehrte und geprüfte Jäger verstanden, es können denselben nach dem Erkänntnisse der jetzigen Kreis — und künftigen Bezirksbehörde auch solche Männer beigezählt werden, welche sich über die erforderliche Sachkenntniss auf eine andere annehmbare Art ausweisen"*.

Podobnie też §. 13. min. rozp. z d. 15 grudnia 1852, Dz. p. p. N. 257 zawiera postanowienie: *„die Jagdpächter müssen unter eigener Verantwortung zur Beaufsichtigung der Jagd gelehrte Jäger oder doch wenigstens, von der politischen Bezirksbehörde dazu als befähigt erkannte Personen bestellen"*. — Z tych postanowień wypływa, że ustawodawstwo wymaga w zasadzie do dozorowania łowiectwa uczonych łowczych lub egzaminowanych strzelców. Dla ułatwienia jednak tym właścicielom i dzierżawcom polowania, których środki majątkowe nie dozwalają trzymać uczonych łowczych lub egzaminowanych strzelców, dozwala ustawodawstwo ustanowienie osób, których (*sic*) c. k. Starostwo uzna jako uzdolnionych. — C. k. Starostwo jest w tej mierze obowiązane przestrzegać zasad §. 4 i §. 13, powyżej powołanych rozporządzeń, to jest, że te osoby mają wykazać *„erforderliche Sachkenntniss"* i że te osoby mają być *„sachkundige Personen"*. — Stylizacya powyższych postanowień przemawia za tem, że dozorca polowania nie może być tylko taki, do którego zakresu należy tylko strzedz, by zwierzynę (*sic*) nie kradziono na terytoryum wydzierżawionem, lecz ma on rozporządzać chociażby mniejszą cokolwiek wiedzą od uczonego łowczego, w jaki sposób zwierzyna ma być hodowaną i rozmnażaną, jeżeli jest dążnością państwa i kraju, by stan zwierzyny w kraju podniesiony został. Takiemi zaś dozorcami nie mogą być w żaden sposób analfabetyści (*sic*) i z tymi na równi stojące osoby, które prócz czytania i pisania słabego nie dysponują wcale żadną intenligencyą. Nawet uczeni prawnicy, medycy i filozofowie, jeżeli się nie starają przywłaszczyć tę specyalną *„erforderliche Sachkenntniss"*, mogą nie być jako uzdolnieni przez c. k. Starostwo uznani do dozoru polowania. — Ponieważ ustawodawstwo wymaga: *„sachkundige Personen"* do dozoru polowania *„welche sich über die erforderliche Sachkenntniss auf eine andere annehmbare Art ausweisen"*, przeto by nie być dowolnym w ocenianiu uzdolnienia dozorcy polowania a z drugiej strony, by uzyskać pewność, że pod jego dozorem choć trocha postępu i umiejętniejszego traktowania tego łowiectwa w naszym kraju spodziewać się można, sprawdzam *„die erforderliche Sachkenntniss"* i uznaję tych osób (*sic*) *„als Sachkundige"* w sposób następujący: Zapraszam przedstawione mi osoby do dozoru polowania, tudzież c. k. Lustratora dóbr państwowych w Niepołomicach, a oraz łowczego tych dóbr na pewny dzień i sprawdzam, czyli osoba może być uznaną *„als eine sachkundige Person"*. W taki sposób udowodniali kwalifikacye do dozoru polowania prawie wszyscy właściciele dóbr tutejszego powiatu, niemające (*sic*) środków utrzymywania łowczych uczonych, dzierżawiące (*sic*) polowanie na gruntach rustykalnych, dla przykładu: Józef hrabia Stadnicki, Henryk baron Konopka, Stanisław Niedzielski, Adam Fink, Brudzewski Edward, dawny właściciel dóbr Korabniki i t. d. Na podstawie złożonej opinii rzeczonego lustratora, względnie łowczego, zatwierdzam rzeczoną osobę, jako posiadającą kwalifikacyę do dozoru polowania, która w ten sposób udowodniła uzdolnienie *„auf eine annehmbare Art."* Takim traktowaniem tych spraw doprowadzono do tego, że w tutejszym powiecie dzierżawią prawa polowania na gruntach rustykalnych przeważnie właściciele dóbr i stan zwierzyny się podnosi*), gdy zaś przed rokiem 1884, zanim objąłem kierownictwo tutejszego c. k. Starostwa, dzierżawili polowania sami analfabeci, lub inni ludzie, którym nie zależało na utrzymaniu zwierzyny, lecz by co najmniej tyle uzyskać z tej dzierżawy, ażeby na pokrycie czynszu i innych wydatków z polowaniem połączonych wystarczyło. Rygor zaprowadzony w uznawaniu jako uzdolnionych do dozoru polowania usunął ludzi takich od dzierżaw polowania. Dla konsekwencyi, by nie robić złej krwi u ludzi, którym odjęto sposobność dzierżawienia polowania, nie jest mi możebnem odstąpić od raz wytkniętej zasady nawet u większych właścicieli dóbr, jeżeli się do tych wymogów nie zastosują. Przedstawiony przez Dr. Lisowskiego, mieszkającego w Krakowie, leśny kajetan Jankowski, jak świadczy spisany z nim protokół z dnia 3. Października 1893, jest analfabetą i według jego własnych zeznań nie nastręcza on wcale żadnej rękojmi, że będzie dozór polowania umiejętnie wykonywał, nie mając o łowiectwie pojęcia, i jest tylko zwykłem (*sic*) stróżem, by kradzieży naokoło 100-morgowym obszarze lasu nie popełniono. — Dotąd znachodziło moje zapatrywanie, iż każdy dzierżawca, względnie dozorca polowania, ma wykazać kwalifikacyę — potwierdzenie u Wysokiego Namiestnictwa, jak świadczy dekret z dn. 30 kwietnia 1886. L. 26890, tudzież z dnia 16 września 1885 l. 40155.

Że rozpisano licytacyę względem wydzierżawienia prawa polowania zarekurowanem orzeczeniem także na gruntach dominikalnych, stało się to przez pomyłkę — bowiem sprzeciwia to się postanowieniom §. 15. i §. 18. ministeryalnego rozporządzenia z dnia 15 grudnia 1852 Dz. p. p. N. 257 i dla tego raczy Wysokie Namiest. tę część orzeczenia uchylić".

Oto jak sprawa, niezawodnie bardzo ważna, tycząca się dozorców polowań, przedstawia się w traktowaniu władz.

Nie chcemy już tykać gramatyki i stylu pisma starościńskiego, lecz skoro to pismo tak uporczywie alfabet ze znajomością łowiectwa i zwyczajów zwierzyny łączy, to moglibyśmy logicznie twierdzić, że nieznajomość alfabetu wyższego rzędu, tj. gramatyki i stylu, odbiera również i panu Staroście prawo rozsądzania, który dozorca jest uczony, a króry nie. Powoływanie jednostronne osób, choćby one nawet cesarsko-królewskiemi były, do rozstrzygania takich spraw, nie uważamy za wystarczające, boć koniec końców ludzie są ludźmi, i jeśli p. Starosta ma w tem jaki interes, aby mu powiedziano, że dozorca nie jest „uczonym" — to mu to powołany przez niego znawca z miłą chęcią uczyni.

*) Bajka! Przyp. koresp.

Zdałoby się przeto, ażeby c. k. Namiestnictwo wydało raz jakąś normę do komisyjnego orzekania o kwalifikacyi dozorców polowań, bo inaczej nie trudno w tej mierze o administracyjne dziwolągi. *R.*

Stanisławów 29 listopada 1893.

(Olbrzymi zając.)

W „*Dzienniku polskim*" z dnia wczorajszego pojawiła się następująca notatka:

„Niezwykły zając. Czerniowiecka *Gaz. Pol.* donosi: P. Łysakowski Józef zastrzelił temi dniami w Łęgach pod Stanisławowem niezwykłej wielkości zająca. O rozmiarach zwierza można mieć wyobrażenie, gdy powiemy, że odległość od kończyn przednich skoków do tylnych mierzy $1^3/_4$ metra! Niebywałego olbrzyma zajęczego rodu przesłano do muzeum hr. Dzieduszyckiego we Lwowie".

Nie wiem skąd ta kaczka powstała, przypuszczam jednak, że przyczyną jej była załączona fotografia*) przedstawiająca mnie i mego młodszego brata z zającem, który jednak wisiał o kilka kroków bliżej fotografa, i w ten sposób stał się olbrzymem w zdjęciu fotograficznem. Figiel ten fotograficzny przeznaczony był dla kilku naszych towarzyszy, i zdaje się był powodem powyższej kaczki którą, zaraz sprostowałem, jako czujny na wszelką łacinę myśliwską korespondencyi „*Łowca*".

Jakkolwiek pewny jestem, że *Łowiec* kaczki tej za dziennikami nie powtórzy, przesyłam Szanownej Redakcyi ten łudzący figiel, i żałuję, że tak wielkiego zająca — któryby się teraz na wystawę bardzo przydał — posłać nie mogę.

Natomiast donoszę, że w rewirze korszowskim już od tamtego roku spaceruje koza prześlicznie znaczona — zupełnie srokata z białemi wielkiemi plamami. Gdyby Namiestnictwo dało pozwolenie ubicia jej, przysłalibyśmy ją z pewnością na wystawę. Jest to wielka sztuka, i często ją widujemy. *Józef Łysakowski.*

Sprawozdania łowieckie.

— W Bukównie, u p. Stanisława Cieńskiego, odbyło się w dniach 16 i 17 listopada polowanie w dziewięć strzelb. Ubito 15 rogaczy, 21 zajęcy i lisa. Czas nie bardzo sprzyjał łowom, nie padło więc tyle sarn, ile znakomity ich stan w tej kniei kazał się spodziewać. Mioty rozpoczynano dość późno, a wcześnie kończono. W korzystniejszych warunkach paść mogło dwadzieścia kilka rogaczy. Las Bukówna z jednej strony graniczy z Dniestrem, z drugiej są sąsiednie lasy, skutkiem tego niewiele zajęcy. Kilka dzików widziano, lecz przeszły przez nagonkę.

Aleksander hr. Potocki.

— W Kościelcu, w powiecie Chrzanowskim, u hr. Antoniego Wodnickiego odbyło się d. 6. listopada polowanie w siedm strzelb. Ubito 79 zajęcy 21 bażantów, 2 kuropatwy i słonkę.

— W Zadobrówce na Bukowinie, majątku p. Antoniego Łukasiewicza, polowano d. 31 października z chartami. W polowaniu tem wzięło udział piętnastu jeźdźców na dzielnych koniach, z trzynastu chartami. Śliczna jesienna pogoda sprzyjała pościgom, które trwały cztery godziny, a prowadzone były przez szanownego gospodarza i p. J. Zerygiewicza. Wynikiem tych, tak rzadkich już dziś łowów, było dziewięć szaraków.

— W Horodence, u bar. Jakóba Romaszkana, odbyły się polowania w dniach 30 listopada i 1. grudnia w lasach połoczowskich i siemiakowieckich, w których brał udział arcyksiążę Leopold Salwator i oprócz gospodarza następujący zaproszeni goście: Wiceprezydent kraj. dyrekcyi skarbu, p. Witold Korytowski, ochmistrz dworu arcyksięcia podpułkownik br. Lazarini, major br. Giesl, Stefan hr. Szembek, Stanisław hr. Dzieduszycki, br. Seweryn Brunicki, br. Franciszek Romaszkan, Zdzisław Stojowski, Leszek Cieński, Stefan Oczosalski, br. Józef Brunicki i Mieczysław Siemiginowski.

Jaki był wynik łowów, nie otrzymaliśmy jeszcze wiadomości przed oddaniem numeru „*Łowca*" na prasę.

KRONIKA.

Towarzystwo myśliwych im. św. Huberta we Lwowie, powołując się na nr. 11 naszego pisma, w którym poruszyliśmy myśl zbiorowego wystąpienia dzielnych „Hubertowców" w dziale łowiectwa na przyszłorocznej Wystawie krajowej, wydało pod dniem 22 listopada do swych dawnych i obecnych towarzyszy odezwę, w której czytamy:

„Wydział Towarzystwa na posiedzeniu z dnia 9. b. m. omawiając tę sprawę, przyszedł do przekonania, że Towarzystwo nasze, będące pod względem organizacyi pierwszem w kraju, we wzięciu udziału w wystawie łowieckiej w tyle pozostać nie może i nie powinno. W wykonaniu tej myśli wzywa niniejszem wszystkich teraźniejszych i byłych druhów z pod sztandaru myśliwskiego „Towarzystwa św. Huberta" nietylko w imię myśliwstwa polskiego, ale w imię honoru narodowego, do przyczynienia się według możności w urządzeniu osobnego działu wystawy łowieckiej na ogólnej wystawie krajowej w roku 1894.

„Czem chata bogata tem rada" i z serca rada. Trzymając się tego starego, choć tak skromnego motywu, przecież wiele zdziałać można.

Prosimy więc przedewszystkiem do **5. grudnia b. r.** o stanowcze oświadczenie się i o wyszczególnienie przedmiotów, któreby się do wystawy nadać mogły.

Pożądane są następujące przedmioty:

1. Broń myśliwska wszelkiego rodzaju, odznaczająca się starością, oryginalnością lub pięknością wyrobu — jako to: kusze, samopały, strzelby (skałkówki, pistonówki, ptaszniczki, gwintówki, kniejówki, jedno- i dwururki i piękne, obecnie na polowaniach używane strzelby przedewszystkliem wyrobu krajowego). tasaki, kordelasy, noże, oszczepy, dzidy etc.

2. Przybory myśliwskie, siecie, zatrzaski, żelaza, łapki, wabiki, trąby i rogi, stare rożki na proch, prochownice, ładownice etc.

---

*) Fotografię tę, otrzymaliśmy wraz z listem. Została ona w ten sposób zdjęta, że zając zwykły został powieszony na cienkim druciku u sifitu o kilka kroków przed dwoma myśliwymi, trzymającymi na ramionach poprzecznie drążek w tej wysokości, iż tylne skoki zająca przypadają na sam środek drążka, tak, jakgdyby zając na drążku był zawieszony. W ten sposób zając na fotografii jest nadzwyczaj duży w porównaniu do myśliwych, a złudzenie jest tak wielkie, że nawet starzy myśliwi na lep się biorą. Fotografię tę, która znakomicie się udała, a przeznaczoną była dla małego kółka towarzyszy myśliwych, zapewne widział korespondent czerniowieckiej *Gazety Polskiej*, który tę skromną kaczeczkę dziennikarską pierwszy w świat puścił i skąd się ona do *Dziennika polskiego* dostała. *Przyp. Red.*

wogóle przedmioty tego rodzaju ładne, oryginalne lub wyrobu krajowego, ludowego i t. p.

3. Egzemplarze wypchanej zwierzyny i ptactwa, głowy jeleni lub dzików, okazy wszelkiego rodzaju rogów (nasad) normalnych i anormalnych czyli myłkusów, szabel (kłów dzika), grandli jeleni, skór niedźwiedzi lub wilków etc.

4. Niezwykle stare obrazy, rękopisy, nadania i książki, odnoszące się do naszego życia łowieckiego w kraju.

Ponieważ wiemy, że częstokroć takowe rzeczy darowywane bywają rozmaitym muzeom - przeto prosimy aby ofiarodawcy sami postarali się o uzyskanie tych przedmiotów lub Wydziałowi do tego upoważnienie udzielili. Prosimy również pp. członków Towarzystwa, by starali się od znajomych swoich a niečzłonków, przedmioty, któreby się do wystawienia nadawały, na czas wystawy wypożyczyć.

Okazy w każdej ilości a chociażby i pojedyncze sztuki, jeżeli się do wystawy nadają, z chęcią przyjęte będą.

Urządzeniem Wystawy zajmuje się cały Wydział pod przewodnictwem Prezesa. Koszta urządzenia pokryje kasa Towarzystwa. Każdy przedmiot wystawiony oznaczony będzie nazwiskiem właściciela.

Wierząc w najlepsze chęci Towarzyszy broni, spodziewamy się, że z równą dzielnością jak w kniei i na łowach i tu pójdą razem z nami, gdyż tylko wspólnemi siłami możemy dokazać, że wystawa nasza imponująco wyglądać będzie.“

Odezwę podpisali prezes Towarzystwa W. Godowski i sekretarz tegoż Horwath. Towarzysze, mający zamiar wzięcia udziału w wystawie, mają listy deklaracyjne i informacyjne z opisem przedmiotów nadsyłać pod adresą Prezesa Wł. Godowskiego ul. Kochanowskiego l. 7a Lwów.

Ten dobry przykład Hubertowców oddziała zapewne na spółki łowieckie na prowincyi i skłoni je do naśladowania.

Porucznik Höhnel, znany towarzysz hr. Teleky'ego w wyprawie afrykańskiej i autor dzieła o tej podróży, z którego i *Łowiec* podał ciekawsze wyjątki, został ciężko poraniony w ciągu ekspedycyi afgańskiej, którą obecnie dowodził. Ekspedycya znajdowała się 22. sierpnia koło miejscowości Seja na południowym stoku gór Boroghi, o 100 mil morskich od Kenii. Z małą karawaną chciał się udać Höhnel do Turkany, gdzie miano zakupić wielbłądy. Höhnel i towarzysz jego Chanier weszli do lasu chcąc podejść słonie. Gdy Chanler oddalił się od towarzysza, wypadł z gęstwiny nosorożec, powalił Höhnela o ziemię i zadał mu kilka ran niebezpiecznych, poczem się oddalił. Höhnela musiano w ciągu dalszej drogi transportować na noszach.

Wyprawa dr. Nansena. Według wiadomości, jakie do Hamerfest w Norwegii przywieźli wracający z północnego morza Lodowatego poławiacze wielorybów, widoki dr. Nansena, śmiałego podróżnika po Grenlandyi, który właśnie znajduje się w drodze do bieguna północnego, zapowiadają się jak najpomyślniej. Zdaniem tych ludzi, od 20 sierpnia r. b. na całej północno-zachodniej stronie półwyspu Nowaja Zemlja i przylądka Nassau nie znaleźli oni wcale lodowców, choć się o to starali, wiadomo bowiem, że bez lodowców nie można nawet myśleć o połowie wielorybów. Podobnież nie napotkali lodu i w północnej stronie morza Karyjskiego. W dniu 4 września jeden z poławiaczy pożeglował z Przylądka Lodowatego ku krajowi Franciszka Józefa, do którego zbliżył się na 9 mil — i tam nawet, pod 77° 15' szerokości północnej, znalazł wody wolne od lodu. I inni poławiacze zgadzają się w tem, iż od dnia 24 września wcale na lód w okolicach przylądka Nowaja Zemlja nie natrafili. Prąd był nadzwyczaj silny i szedł w kierunku północnym i północno-zachodnim, podczas gdy z wiosny miał kierunek tylko zachodni. W obec tego nie ulega prawie kwestyi, iż wyprawa Nansena musiała dotąd poczynić wielkie postępy.

Wróble srokate. W okolicy Aleksandrowa pogranicznego w Kongresówce ukazują się wróble z białemi strzałami na łebkach i z białemi skrzydlami.

Rzadki podróżnik przechodził niedawno przez śniegiem okryty Brenner, dążąc do Włoch. Był to olbrzymi mający 3 metry wysokości i 80 cetnarów wagi słoń „Joli“ z menażeryi Eglbecka, który z uroczystości monachijskich wędrował przez Brenner do Włoch. Podróż musiał odbywać piechotą, gdyż kolej odmówiła przewozu olbrzyma, pomimo, iż odznacza się on wielką łagodnością. W większych wsiach Joli zatrzymywał się dzień lub dwa dni i występował gościnnie. Drogę przez Brenner przebył pomyślnie. Olbrzyma prowadził jeden zwykły dozorca, na czele szedł przewodnik, który furmanów ostrzegał, by trzymali dobrze konie, które mogą się spłoszyć na widok słonia.

Spacer słonia. Od wielu lat ozdobą cyrku Sangera w Londynie jest śliczny słoń. W dniu 21. sierpnia dozorca wyprowadził go razem z dwiema lamami na ulice Londynu, by zwierzęta użyły przechadzki. Spacer z początku odbywał się pomyślnie, gdy nagle przy Manor-House słoń rozgniewał się i popędził w kierunku parku Finsburg. Wszystko, co spotkał na drodze, łamał i wywracał. W parku z wielkiem powodzeniem zaatakował altanę ogrodową, następnie pobiegł na Blackstock Road, gdzie wpadł do sklepu rybaka i przewrócił tam na ziemię parobka. Mnóstwo policyantów i tłumy ludzi puściło się w pogoń za rozsrożonym olbrzymem. Nikt jednak nie śmiał zbliżyć się do słonia, który dzielnie władając trąbą, szedł sobie dalej aż do Albion-Rood, gdzie próbowano bezskutecznie zarzucić mu stryczek na szyję. Zniszczywszy po drodze parę skwerów i zburzywszy budy z towarami łokciowemi, mężny słoń wydostał się na pola, leżące za stacyą Grove, i tam nagle stanął spokojnie, dał się bez oporu spętać dozorcy i łagodny jak jagnię, wrócił do swej siedziby w Woodwille-Parck.

Niedźwieź pomiędzy widzami. W Nawarze, w cyrku miejskim, przy pełnej widowni, popisywał się niedźwiedź — w roli woltyżerki. Miał on, siedząc po damsku na koniu, wykonywać rozmaite sztuki ekwilibrystyczne. Z początku szło mu dość zgrabnie, lecz stracił niebawem równowagę i runął, jak długi, na ziemię. Koń, uszczęśliwiony, że się pozbył takiego ciężaru, podążył do stajni w podskokach. Niedźwiadkowi zaś, po dźwignięciu się z upadku, przyszła nagle ochota zapoznać się bliżej z publicznością. Przeszedł więc przez balustradę, otaczającą arenę, i — mrucząc — kroczył naprzód. Wszedł do loży, zajmowanej przez pewnego adwokata i dentystę. Łatwo sobie wyobrazić ich przestrach. Adwokat, ku ogólnej wesołości, zaczął się wspinać po słupach od loży; dentysta patrzał tylko, gdzieby umknąć. „Wyrwij mu pan zęba!“ — wołali widzowie górnych piątr. Niedźwiedź groźnem spojrzeniem objął spłoszonych jego obecnością właścicieli loży, potem — jakby powiedziawszy sobie, że z tchórzami wdawać się nie warto — wyszedł najspokojniej. Nadbiegł przez ten czas dyrektor cyrku, wziął go za... łapę i wyprowadził z areny.

Scena z menażeryi. Z Chicago donoszą o wypadku, jaki wydarzył się w menażeryi Hagenbecka, podczas jazdy lwów. Ponieważ koń, na którego grzbiecie lew odbywał przejażdżki, zdechł, poskromicielka zwierząt, miss Johnson, użyła do tej ryzykownej sztuki młodego rumaka zwanego „White Bob“. Konia przyzwyczajono najpierw, iż człowiek z tyłu skakał mu na grzbiet, poczem ustępował psu, który wykonywał te same sztuki, jakie miał lew wykonywać na przedstawieniu. „White Bob“ znał się dobrze z wielkim psem i zachowywał się względem niego przyjaźnie, próby udawały się dobrze i postanowiono je powtórzyć z lwem. Koń jednak odrazu zmiarkował, z kim ma do czynienia i zaczął parskać i kręcić się niespokojnie. Poskromicielce udało się jednak uspokoić konia, który drżąc ze strachu, oczekiwał niebezpiecznego jeźdzca. Lew przez długi czas nie dał się skłonić do skoku, ryczał, wyszczerzał zęby, w końcu zdecydował się skoczyć; lecz w tej chwili koń poruszył się i lew zamiast na płaskie siodło spadł na tył konia i pazurami wbił się w niego. Wściekły z bólu koń w straszny sposób poczęstował lwa kopytami i odrzucił daleko od siebie. Lew podniósł się, skoczył na „White Boba“ i usiłował przegryść mu gardło. Z pomocą żelaznych drągów udało się odgonić lwa i ocalić strasznie pokaleczonego konia.

Badacz języka małp, prof. Garner, opuścił już południowo-zachodnią Afrykę i wrócił do Liwerpolu w towarzystwie dwóch szympansów z rodzaju Kulan-kuba, z któremi w ciągu długiej podróży wymieniał myśli swe i zwierzenia. Profesor Garner, który przebył sto jeden dni w klatce stalowej, zbudowanej umyślnie, aby przebywać wpośród małp, chwali sobie przyjaźne z niemi stosunki i przystąpi zapewne do ogłoszenia dalszych swych badań o zwyczajach i języku małp.

Na wyżły zbyt gorące, które się nie dadzą odzwyczajać od gonienia zająca, podaje pewien myśliwy następującą receptę. Bierze się do torby palik ostro zakończony z łańcuszkiem. Jeśli pies mimo zakazu rzuci się za zającem, zakłada mu się łańcuszek na szyję, skoro powróci, i palik wbija się do ziemi. Myśliwy odchodzi potem i w pewnej odległości chowa się tak, aby nie był przez legawca widzianym. Pies skomli wówczas, jęczy, płacze, stara się urwać, lecz nadaremnie. Dopiero po pół godziny puszcza się go z uwięzi. Po trzykrotnem lub najwyżej czterokrotnem użyciu tej kary doraźnej zaraz na miejscu, ma pies odwykać zupełnie od brzydkiego zwyczaju gonienia za zającem, i nie trzeba się nad nim harapem znęcać.

Nowa karma dla zwierzyny. Z powodu tegorocznego, tak powszechnego braku paszy, zwraca *Landwirthschaftliche Zeitung* uwagę na jednę roślinę, która już od r. 1869 w ogrodnictwie jest znaną, lecz nie była dotychczas jak należy wyzyskaną. Jest nią gatunek rdestu, *Polygonum sachaliense*, znaleziony przez podróżnika Maksymowicza na wyspie Sachalin na morzu Ochockiem. Sprowadzona do ogrodu botanicznego w Petersburgu, rozeszła się ta roślina po różnych krajach, a że jest wytrwała na zimno i na upał, na słoty i na posuchy, da się łatwo i wszędzie uprawiać, dostarcza zaś dużo i dobrej paszy zielonej. Ogrodnik paryski C. André, uznając wartość dekoracyjną tego rdestu, sprowadził go do ogrodów francuskich. Roślina to trwała, dochodząca do trzech metrów wysokości, ma owalno-podłóżne soczyste liście, nicomszone, do 30 centym. długie a na 20 centym. szerokie. Kwiat dostarcza pożytku pszczołom. Roślina rozmnaża się łatwo sama za pomocą łodyg podziemnych. Pierwsze pędy wiosenne ścina się, gdy dojdą na metr lub $1\frac{1}{2}$ m. wysokości. W ciągu lata można dalsze pędy jeszcze trzy i cztery razy ścinać, a każdym razem ilość paszy jest znaczna, bo metr kwadr. wydaje jej w ciągu roku 20 do 40 kilogramów.

Kultywatorzy zalecają *Polygonum sachaliense* na paszę dla zwierzyny, nadającą się do sadzenia w remizach i śród lasów.

Kłusownik jakich mało. Jedno z pism myśliwskich zamieszcza następującą typową sylwetkę kłusownika:

W południowej stronie Poznańskiego grasował znany ze swych czynów żandarmom i leśnikom opryszek nazwiskiem Szlachta. Był to kłusownik nie tyle z fachu, ile z konieczności, albowiem postanowiwszy nie służyć Niemcom, uciekał dwukrotnie jako rekrut z szeregu i był tak przez żandarmów śledzony, że tylko w gąszczach leśnych kryjówka była dlań bezpieczną. Wprawdzie były to strony jego rodzinne, miał dużo krewniaków i przyjaciół po wsiach, ale wobec grożącego mu niebezpieczeństwa nie dowierzał nikomu i tylko w czasie silnych mrozów nocował pod dachem, zmieniając co noc swoją kryjówkę. Kłusownictwo stało się jedynem polem zarobkowania dla niego, uwijał się też żywo po lasach i tępił zwierzynę gdzie dopadł. Dał się wszystkim lasom we znaki tak, że zewsząd rozpoczęło się energiczne prześladowanie Szlachty, który w tem większem widział się niebezpieczeństwie, ile że był poszukiwany przez leśników jako nader szkodliwy kłusownik, a przez żandarmów jako dezerter i domniemany sprawca kilku zabójstw i kradzieży w okolicy. Później okazało się jednak, że Szlachta nikogo nie zabił, nie napadał, lecz tylko bronił się, a nawet, przeczytawszy o Rinaldinim — naśladował go w miniaturze. To zabrał, naprzykład, komuś futro z domu a po skończonych mrozach odniósł, sowicie za tę samowolę wynagrodziwszy, to znowu przyniósł jakiejś wyrobnicy pełen kosz bułek dla głodnych dzieci, które zabrał piekarzowi na drodze i t. p. Był to człowiek młody, średniego wzrostu, białej cery i zawsze ogolony, bo się często musiał przebierać za kobietę, gdy mianowicie udawał się do miasta po sprawunki dla siebie. Wówczas zasiadał razem z babami na rynku, sprzedawał ze swego koszyka jarzynę i inne wiktuały i dopytywał sąsiadki o opinię własną. Od jednej z nich dowiedział się tak okropnych zbrodni o sobie i tyle się złorzeczeń przeciw sobie nasłuchał, że się sam przeraził. Aby więc choć w części fałszywą o nim opinię sprostować, towarzyszył owej babie z powrotem, w lesie jej się przedstawił, zadał kłam baśniom i dla przestrogi takie babie rózgi sprawił na pniaku, że ta odtąd opinii jego nie psuła więcej. Strzelec był zawołany i jako dostawca zwierzyny tak pewny, że żądającemu zostawiał zadatek na pewność dostarczenia jej. Niebezpieczeństwo, grożące mu zewsząd, zmusiło go w końcu zmienić taktykę swego postępowania, mianowicie, pragnąc choć z jednej strony uniknąć pogoni, oznajmił polskim właścicielom lasów, że odtąd szkody u nich robić nie będzie, że kłusownictwo swoje zwróci jedynie na terytorya niemieckie, a że te były bardzo obszerne, więc istotnie Szlachta przestał być groźnym dla lasów prywatnych i ukrywał się w nich tylko. Swobodnie więc krążył po tych lasach, spotykał się bezpiecznie ze służbą i przedstawiał się żartobliwie, jako zarządzający wszystkimi lasami w państwie. Ale raz spotkał się oko w oko w lesie na gościńcu z żandarmem konnym. Mógł wprawdzie dać susa do lasu, ale nie widział niebezpieczeństwa w tem spotkaniu dla siebie i śmiało przyznał się żandarmowi kim jest — trzymając broń w pogotowiu.

— Aha! mam cię zbóju — zawołał żandarm najeżdżając z wydobytą szablą.

— Nie wiadomo jeszcze kto kogo ma — odrzekł zuchwale — i radzę ci, Niemcze, jedź swoją drogą, bo strzelę.

Żandarm nie przypuszczał, aby Szlachta pogróżkę spełnił — nacierał więc dalej, mimo, iż ten nie przestawał ostrzegać, że da ognia. Ryzykowny Niemiec podjechał jednak blisko i upatrzywszy dogodną chwilę, ciął tak zręcznie szablą Szlachtę po ręku, że mu trzy palce odpadły na ziemię. Teraz opryszek widząc, że nie przelewki, cofnął się kilka kroków, wycelował i dał ognia. Koń padł trupem na miejsca, a Niemiec z jękiem powalił się na ziemię, bo dwie loftki, minąwszy łeb koński, wpadły w niemiecki brzuch. Poczem Schlachta rozbroił swego napastnika, pomógł mu zebrać się na nogi i życząc dobrego zdrowia, znikł w lesie. Niemiec powlókł się do pobliskiej karczmy i długo się lizał, zanim mógł korzystać z przesiedlenia, o które poprosił.

Jeden z zawziętych na Szlachtę leśników niemieckich ofiarował się obezwładnić go na zawsze pod warunkiem że jeżeli zginie w zapasach z nim, rodzina jego będzie miała byt zapewniony. Przesiedlono go więc na żądaną placówkę, gdzie też energicznie ściganie Szlachty rozpoczął. Długo za nim śledził, aż nareszcie dostrzegł go zdala stojącego pod drzewem, zmierzył doń celnie ze sztuceru i wpakował mu kulkę w szyję. Szlachta zwinął się na razie w kłębek, ale chłop silny, zerwał się prędko, umknął i przy pomocy przyjaciela felczera, wyleczył się. Teraz on zaczął na swego wroga polować i udało mu się jednej ciemnej nocy podejść na blizkość strzało pod okna leśniczówki. Podleśny stał właśnie w oknie, figura jego wyraźnie zdawała się rysować na tle oświeconego pokoju, więc Szlachta huknął z obydwóch luf śrótem i uciekł do lasu. Okazało się jednak, że w oknie wisiał tylko płaszcz podleśnego; ten ostatni nie pomału przeraził się śmiałością kłusownika i z podziurawionego płaszcza zrozumiał, jakie mu niebezpieczeństwo grozi, przeto utemperował się w prześladowaniu opryszka.

Nareszcie po ośmiu latach awanturniczego życia przyszedł i na Szlachtę koniec i to w chwili, gdy się tego wcale nie spodziewał. Oto towarzyski z natury, czując się bezpieczniejszym, począł wychylać się coraz śmielej z kryjówek i nocami ciemnemi udawał się między tamtejszych rzemieślników i w karty z nimi grywał. Jednemu z nich pożyczył nawet 50 talarów i jednej nocy przyszedł je odebrać. Jakiś protektor bowiem Szlachty wyrobił mu miejsce na gajowego i paszport do Galicyi, ten więc uradowany, że skończy swój tułaczy żywot, przyszedł się z przyjacielem pożegnać i pieniądze swoje od niego wycofać. Ten na pozór przyrzekł odnieść pieniądze nazajutrz w umówione miejsce, a cichaczem uwiadomił miejscowego żandarma o naznaczonej schadzce w samotnej chałupce pod lasem, gdzie się nieraz z nim spotykał. Dodać tu należy, że za schwytanie Szlachty rząd i administracya Thurn-Taxis naznaczyli po 200 talarów nagrody i na tę właśnie ów przyjaciel się połakomił i zdradził go.

Nazajutrz kłusownik, nie podejrzywając zdrady, stawił się w umówionem miejscu, zasiadł ochoczo do przyniesionej przez owego przyjaciela przekąski, gdy raptem zobaczył przez okno żandarmów. Otoczyli oni chałupkę a dwóch weszło do środka. Tu już Szlachty nie było, czmychnął na strych, stamtąd wyskoczył na ziemię i puścił się w stronę lasu. Dobiegł już do niego, gdy jeden z żandarmów celnym strzałem z karabina w głowę, położył koniec życiu głośnego kłusownika.

Sekretarz i Skarbnik gal. Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Zimorowicza 7.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.